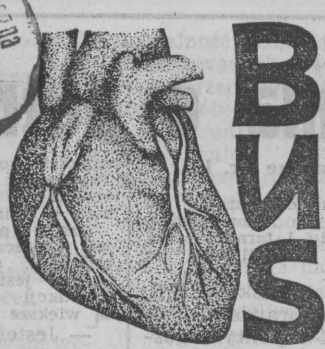
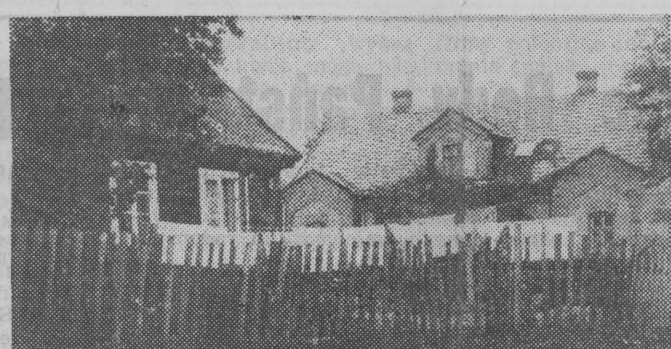


Tvoja szansa
w Łomżyńskim

str. 3



str. 5



SKAN
SEN

str. 4

CZYTANIE
MYŚLI BOGA

str. 4



str. 6

MACANZY

Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!



Gazeta Współczesna

DIENNIK POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

Nr 23 (11 626)

Białystok—Łomża—Suwałki, piątek, 27 I 1989 r.

Nakład 246.000

Cena 30 zł

Z prac Rady Państwa

26 bm. odbyło się w Belwederze posiedzenie Rady Państwa. Dokonano analizy wyborczych programów kadencyjnych wojewódzkich rad narodowych na lata 1988-1992.

W programach kadencyjnych, opracowanych z uwzględnieniem wniosków mieszkańców zgłoszonych w czasie kampanii wyborczej do rad narodowych, za priorytetowe dziedzin zostały uznane: rolnictwo i gospodarka żywnościowa, rozwój przemysłu terenowego, budownictwo mieszkaniowe, ochrona środowiska i ochrona zdrowia. Ciąg dalszy na str. 2

Białostocki Oddział Ogólnopolskiej Fundacji
Oferia dla młodzieży i zakładów pracy

Komputer bliżej życia

Cywilizowany świat wkroczył w erę maszyn cyfrowych. Informatyka — dziedzina stosunkowo młoda — przebiegiem zdominowała szeroko rozumianą kulturę techniczną. Stworzyła własny język i metody badawcze; stała się wyzwaniem czasu. Nie można przejść obojętnie wobec tego faktu.

Ta właśnie świadomość przyswiliła inicjatorom powołania pod koniec ubiegłego roku białostockiego oddziału regionalnego Ogólnopolskiej Fundacji Edukacji Komputerowej. Pomysł zrodził się w gronie kierownictwa Politech-

niki i spotkał się z szerokim poparciem zarówno władz białostockich i całego środowiska akademickiego, jak też zainteresowaniem władz z województwa północno-wschodnich.

Na cele fundacji uczelnia przeznaczyła pomieszczenia w budynku Instytutu Architektury, powołane zostało tzw. „biuro realizacji”, jako jednostka gospodarcza, zakupiono sprzęt i wyposażenie.

Idea utworzenia fundacji zrodziła się parę lat temu wśród członków dołnosławskiego klubu dyrektorów, skupiającego szefów największych zakładów pracy, przedstawicieli władz uczelni, instytucji badawczych oraz wojewodów i działaczy politycznych. Ich

intencją było świadczenie społeczeństwu pomocy w zakresie kultury technicznej, zwłaszcza w tych dziedzinach, w których są lub mogą być stosowane urządzenia wyposażone w układy mikroprocesorowe. Ofertę swoich usług fundacja kieruje do wszystkich, którzy podejmując różne decyzje określają kierunki rozwoju gospodarki narodowej. Z oczywistych względów adresem tej działalności są również ludzie młodzi — uczniowie i studenci — ci, co za parę lat decydować będą o sprawach kraju.

Centrala — rada fundatorów i zarząd mieszczą się we Wrocławiu. Oddziały zaś powstały już w Warszawie, Jeleniej Górze, Poznaniu, Zielonej Górze, Gdańsku. Trwają przygotowania do uruchomienia dalszych w innych miastach.

Ciąg dalszy na str. 2

Mirosław Sowiński najpopularniejszym sportowcem Białostocczyzny

Halina Sobolewska Honorowym Sportowcem Roku

Łatwo było przewidzieć, że droga na najwyższe podium 34. Plebiscytu „Gazety Współczesnej” i Wojewódzkiej Federacji Sportu na najpopularniejszego sportowca woj. białostockiego w roku 1988 poprowadzi przez boiska piłkarskie. 1-ligowe mecze Jagiellonii oglądano w Białymstoku przeciętnie około 24 tys. widzów. Wiele braw zebrał w bramce Mirosław Sowiński, który był pewnym punktem zespołu często ratując go w brawurowy sposób przed utratą gola. Otrzymał najwięcej głosów od naszych czytelników i został najpopularniejszym sportowcem w roku ubiegłym.

A oto jak ukształtowała się pierwsza piątka.

1. MIROSŁAW SOWIŃSKI (Jagiellonia) — piłka nożna (10 972 pkt.).
2. MAŁGORZATA ROSZKOWSKA (Gwardia Białystok) — dzudo (9 084).
3. PAWEŁ MACKIEWICZ

(Auto-Moto-Klub) — wyścigi motocyklowe (9 046).

4. EWA BONDAR (TKKF Zachęta) — kultura (8 846).
5. ANDRZEJ PIOTROWSKI (Supraślanka) — narciarstwo klasyczne (7 936).

Honorowym Sportowcem Roku została HALINA SOBOLEWSKA, (Start Białystok), złota medalistka Letnich Igrzysk Paraolimpijskich w Seulu.

Wyniki 34. Plebiscytu „GW” i WFS zostały uroczysto ogłoszone na tradycyjnym już spotkaniu działaczy, trenerów, zawodników w Klubie Rozrywki w Białymstoku.

Przypominamy, że w Plebiscycie wzięło udział ponad 5 tys. Czytelników. Mamy nadzieję, że przyszłoroczny 35. Plebiscyt przyniesie jeszcze więcej sukcesów naszym sportowcom tym większa aktywność czytelników — sportowców. (let)

Zdrowa żywność

Złota równowaga

Wczorajsze spotkanie na temat zdrowej żywności, które zorganizowała redakcja „Gazety Współczesnej”, wzbudziło duże zainteresowanie. Zapraszając przyszłych i obecnych producentów, organizatorów, handlowców oraz przedstawicieli nauki, nie liczyliśmy się z tak szerokim odzewem, co z przyjemnością odnotowujemy.

Grono sympatyków zdrowej

żywności reprezentowane było przez przedstawicieli oddziałów wsi, suwalskiego, łomżyńskiego i białostockiego. Przybyli także m.in. dr Mestwin Kostka, który przedstawił problem z punktu widzenia nauki oraz Stefan Syta, członek tworzącego się Stowarzyszenia Producentów Zdrowej Żywności w Warszawie.

Ciąg dalszy na str. 2

Jutro w „Gazecie”

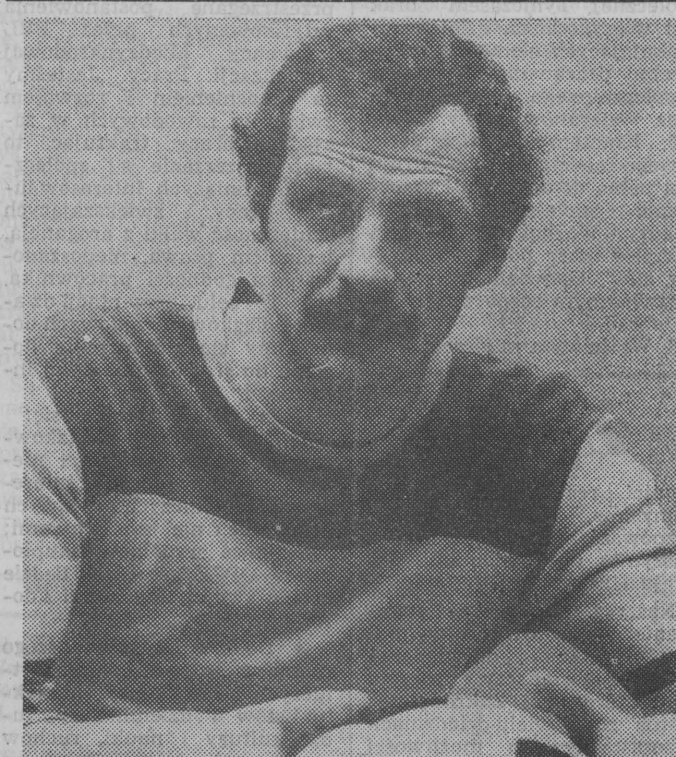
● Tamtejsze ulice przywodzą na myśl sennie miasteczka z francuskich filmów. Jednak drewniane rudery przy nie zamkniętym rynku przypominają raczej slumsy z „Lalki”. Ot, zakład mularski, fryzjerski, sklep spożywczy, z boku bar uniwersalny.

WIDOK Z NADBUZAŃSKIEJ SKARPY

nie jest imponujący. A przecież Nur był miastem...
● Wydawałoby się, że tej inicjatywie można tylko przyklasnąć. Radni odrzucili jednak kolejną lokalizację. Pragną, by powietrze w Mońkach pozostało czyste. Nie przyjmują do wiadomości argumentu, że wytwórnia nie zanieczyści środowiska, że podobna działa w środku osiedla. Kto ma rację? — rozstrzygnąć trzeba szybko, gdyż

TANIEC WOKÓŁ ROLKI

papieru toaletowego nie może trwać w nieskończoność.



Laureat 34. Plebiscytu „GW” i WFS — MIROSŁAW SOWIŃSKI. Fot. Z. ZAREMBA



Coraz więcej firm organizuje ostatnimi czasy różnego rodzaju konkursy mające na celu nabór modelek. Dzieciom chętnych do wykonywania tego zawodu są setki, ale jurorzy narzekają — podobno większość zgłaszających się brak bowiem — bodaj! — samokrytyki. No cóż, można spojrzeć na to z innej strony i pogratiulować dobrego samopoczucia.

NA ZDJĘCIU: w oczekiwaniu na werdykt (zdjęcia z konkursu na modelkę zorganizowanego przez Dom Mody „Telimena”).

CAF — ANDRZEJ ZBRANIECKI



Narada przedstawicieli samorządów

O WARSZAWIE — W Warszawie rozpoczęła się w czwartek dwudniowa narada przedstawicieli samorządów zalg przedsiębiorstw państwowych. Uczestniczą Wojciech Jankowski, Mieczysław F. Rakowski i Roman Malinowski.

Baker sekretarzem stanu USA

O WASHINGTON — Senat Kongresu USA zatwierdził w środę jednoznacznie nominację Jamesa Bakera na sekretarza stanu USA w rządzie prezydenta George'a Busha.

Objęcie stanowiska zajmowanego poprzednio przez George'a Schultza, 38-letni Baker jest pierwszym członkiem nowego rządu przystępującym do pełnienia swych funkcji. James Baker jest od wielu lat przyjacielem George'a Busha. Osobiście kierował jego kampanią prezydencką w ub. roku. Był szefem personelu Białego Domu, a następnie ministrem Skarbu w rządzie Reagana.

Wznowienie stosunków Włochy-Chile

O Rzym — Rząd włoski i rząd Chile podpisy decyzję o przywróceniu stosunków dyplomatycznych na szczeblu ambasadorskim — stwierdza o-publikowany w środę wczesnym komunikat włoskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Włochy odwołują swego ambasadora w Chile

Włochy odwołują swego ambasadora w Chile — nastąpiło to z powodu stanu dokonanym przez Pinocheta w 1973 r.

Rene Felber złoży wizytę w Polsce

O WARSZAWIE — Na zaproszenie ministra Spraw Zagranicznych Tadeusza Olechowskiego w dniach 6-8 lutego br., oficjalną wizytę w Polsce złoży minister Spraw Zagranicznych Konfederacji Szwajcarskiej, René Felber.

Wolki

Amel — Hezbollah

O BEIRUT — Przerwanie o przetrwanie ognia między formacjami zbrojnymi 2 szychle grup ugrupowań libańskich — Amelu i Hezbollah — zawarte w środę rano w Damaszku nie jest przestrzegane. W 3 godziny po ogłoszeniu rozejmu w górskich miejscowościach Dżabaa, Ain Bissar i Kuwana w południowej części Libanu ponownie wybuchły walki. Obie strony użyły dział ciężkich i moździerzy. 3 osoby cywilne odniosły rany. W godzinach popołudniowych walki ustały i przekształciły się w sporadyczne wymiany ognia. (opr. nil)

Wspólne plenum KW PZPR, WK ZSL i WK SD w Łomży

Pytania o potrzeby i możliwości

Trzy razy „brak” Biedna demokracja jest bez szans Bierność — to nie TO

Wspólne plenum wojewódzkich instancji PZPR, ZSL i SD w Łomży, które obradowało wczoraj (26 bm.) podjęło temat niełatwy i bardzo dla przyszłości regionu znaczący. Rozpatrywano mianowicie kierunki polityki gospodarczej województwa na lata 1989-90, a także projekt wojewódzkiego planu na rok bieżący.

W posiedzeniu uczestniczyli m.in. kierownik Wydziału Polityczno-Organizacyjnego KC PZPR — Stanisław Gabrielski, kierownik Wydziału Rolnego KC — Kazimierz Grzesiak, kierownik Wydziału Polityki Gospodarczej CK SD — Roman Wojnarowski, posełowie na Sejm, przewodniczący WRN — Władysław Putawski.

Otwierając obrady I sekretarz KW PZPR — Mieczysław Czerniawski stwierdził m.in.: — Znaleźliśmy się w bardzo złożonej sytuacji, jeśli chodzi

o perspektywę rozwoju województwa. Stoi przed nami nie tylko konieczność utrzymania dotychczasowego tempa, ale i nadrobienia zaległości. Mamy do czynienia także z wieloma rozterkami i wątpliwościami. Na przykład decyzja o pluralizmie politycznym i związkowym jest dla nas w perspektywie wielką niewiadomą. Porozumienie jest potrzebne za wszelką cenę, ale PZPR i stronnictwa muszą teraz podejmować walkę polityczną, od której odzyszczałyśmy partię i nie tylko ją. Gdziekolwiek dzisiaj jesteśmy — na wsi i w zakładach pracy — spotykamy się z totalną krytyką i negacją. Zaprzeczają nie tylko poczucie własnej godności, poszanowaniu własnej pracy. Rozumiemy jednak, że frustracja wynika z niedostatecznego zaopatrzenia rynku,

słabości złotówki, z tych problemów, jakie rodzina spotyka w codziennym życiu. Ale musimy potrzebę na perspektywę tego województwa; w codziennych trudnościach potrzebna jest też wizja przyszłości.

Myślę, że słusznie czynimy, zaczynając od sprawy najważniejszej, od tego co rozstrzygnie o powodzeniu przemian. Biedny

Ciąg dalszy na str. 2

Alma Mater Podlasiensis ma przyjaciół

Bez pomocy przyjaciół, bez społecznego wsparcia białostocka Filia Uniwersytetu Warszawskiego nie byłaby tym, czym jest, a tym bardziej nie mogłaby marzyć o przekształceniu w samodzielną uczelnię. Właśnie z grupą takich przyjaciół — zarówno z osobami prywatnymi jak i przedstawicielami zakładów pracy — którzy na Fundusz Społecznego Komitetu Budowy Uniwersytetu wpłacili po kilkadziesiąt złotych, spotkał się wczoraj władze UW.

Kierownik Filii UW — prof. dr hab. Zbigniew Kuderowicz poinformował zebranych, na co wydawane są m.in. ich pieniądze, a także o planach na przyszłość. Zakupiono na przykład dom przy ul. Zamenhofa, w którym będą się mieścić mieszkania dla pracowników naukowych, chcących przyjechać

Ciąg dalszy na str. 2

Litewski — język i państwom w LSRR

W prasie litewskiej opublikowano w czwartek dwa ważne dekryty — dekret Rady Najwyższej Litwy w sprawie nadania językowi litewskiemu statusu języka państwowego w republice oraz dekret uznający dzień 16 lutego za dzień odrodzenia państwa litewskiego (w tym dniu w 1918 r. przyjęto akt niepodległości Litwy).

Nadanie językowi litewskiemu statusu języka państwowego oznacza, iż będzie on językiem obowiązującym w instytucjach państwowych i społecznych republik, w tym języku będą formułowane ustawy i inne akty prawne. Język litewski będzie też ob-

Ciąg dalszy na str. 2



DZIŚ — pogodnie, rano zamgłota i mroźny. Temperatura maksymalna od +4 do +5 st. C; minimalna od -2 do -4 st. C. Wiatr słaby południowo-wschodni i północny.
JUTRO — bez większych zmian.
IMIENTY: Angeli, Przemysław, (1)

O możliwościach inwestowania, przedsiębiorczości i inspiracji z Województwa Łomżyńskiego — MARKIEM STRZALIŃSKIM rozmawia JERZY BRODZIUŁ

Z inicjatyw władz administracyjnych województwa w dniach 14-15 lutego odbędzie się w Łomży gielda inicjatyw gospodarczych. Zanim jednak do niej przejdziemy prosilibym o skomentowanie kilku danych. W woj. łomżyńskim do 10 stycznia urzędy administracji państwowej przyjęły tylko 79 wniosków o zarejestrowanie nowych przedsiębiorstw, przy czym w zdecydowanej większości dotyczyły one tradycyjnego rzemiosła i usług, a jedynie nieliczne wnioski o legalizację już prowadzonej działalności. W co drugiej jednostce administracyjnej nie odnotowano żadnego przedsięwzięcia. Oczekiwanie czy inercja?

— Stało się tak jak przewidywaliśmy. Przyczyny niewielkiego, w porównaniu z innymi regionami, zainteresowania otwarciem dla przedsiębiorczości związane są ze specyfiką województwa. Dwie trzecie mieszkańców to ludność wiejska, dość duże gospodarstwa dają szansę pełnego zatrudnienia rodzin. Z kolei ludność miejska ma w większości wiejski rodowód i silne powiązania ze wsią. Aspiracje ekonomiczne zaspokaja poprzez te związki. Nie bez znaczenia jest też emigracja zarobkowa. Wracający z zagranicy sporadycznie tylko podejmują działalność gospodarczą. Przyjętym modelem jest poszukiwanie sobie w miarę spokojnej pracy i dokładanie do pensji z procentów od wkładów dewizowych.

— Czy tłumaczy to także istnienie zaledwie czterech firm polonijnych i około 40

działalność gospodarczą i zainteresowanych jej podjęciem, przedsiębiorstw, rzemiosła i osób prywatnych. Stworzy warunki dla pozyskania kontraktów dla własnych programów rozwojowych, a tym którzy chcieliby podejmować działalność gospodarczą, pokaże jej uwarunkowania oraz gdzie i na czym mogłyby tę działalność oprzeć. Stworzy możliwość uzyskania w miarę pełnej informacji o regulacjach prawnych, kredytowych i podatkowych. O-

wa. Przygotowaliśmy wykaz pustostanów, które mogą być wykorzystane do produkcji i usług, dysponujemy rozpoznaniem geologicznym zasobów mineralnych oraz propozycjami lokalizacji inwestycji. Ale gielda operować będzie również na ofertach zakładów pracy i osób indywidualnych. Tu nie mamy dokładnego rozważania i właśnie gielda ma nam pełnie pokazać jakie możliwości i w jakich obszarach można wykorzystywać. Liczymy więc na to, że za-

firmy polonijne lub do utworzenia spółek.

— Właśnie. Gielda ma służyć także odwołaniu eksportu i zebrań propozycji, które przyciągnęłyby kapitał zagraniczny. Do udziału zaprosiliśmy m.in. kilka central handlu zagranicznego.

— Po rozmowach w Ministerstwie Współpracy Gospodarczej z Zagranicą uzyskaliśmy zapewnienie o udziałzie kilkusetosobowych kompetentnych przedstawicieli m.in. z Rolimpexu, Agrosu, Animeksu, zrzeszającego firmy polonijne Interpolcomu i centrali handlu zagranicznego rzemiosła. Być może zjawia się też ewentualnie kontrahenci z Zachodu. Ta forma promocii zakłada pokazanie możliwości eksportowych i zapobieganie utracie towarów central — z jednej strony oraz możliwości podjęcia produkcji eksportowej — z drugiej.

Pokosiłem gieldy ma być ofertą, którą przedstawiamy Biura Rady Handlowej w Rzymie tamtejszym przemysłowcom. Zgodnie z umową podpisaną przez ministrów Handlu Zagranicznego Włoch i Polski, włoscy przemysłowcy mają uczestniczyć w organizowaniu u nas małych przedsiębiorstw, które — jak to wykazały ich doświadczenia — stanowią istotny napęd rozwoju gospodarczego. Oni szukają nowych rynków i możliwości wzrostu produkcji, my — nowych technologii, technik i kapitału. Jest to szansa dla spółek z kapitałem zagranicznym w Łomżyńskim.

Powtarzam, chodzi o małe przedsiębiorstwa. Z ofertą może więc zarówno wystąpić SKR jak i osoba prywatna. Przyjdzie np. pan i zgłosi, że dysponuje stu metrami wolnej powierzchni i odpowiadałaby panu produkcja konfekcji, albo obuwia. Następnym etapem będzie wizyta

włoskich przemysłowców i ewentualne zawiązanie spółki. Pan zapewni bazę i pracowników, oni oprzyrządowanie, technologię i surowce. Równie dobrze może pan przysięść i powiedzieć: mam pomysły i nie pozostawiam. Pomogę go i wykorzystam z pożytkiem dla państwa...

— Administracja w tym przypadku wzięła na siebie rolę inspiratora i pośrednika jednocześnie. Kiedy można się spodziewać pierwszych efektów i czy nie obawia się pan, że ten duży wysiłek może ich nie przyniesie?

— Moje obawy sprowadzają się wyłącznie do pytania: czy ci, którym stwarzamy szansę, potrafią ją jak najlepiej wykorzystać. Trudno oczywiście, oczekiwać byśmy dziś się spotkali, a jutro mieli zmierzalność w kierunku. Wyniki w postaci wyraźnej poprawy zaopatrzenia rynku i jakości usług, a są to podstawowe oczekiwania społeczne, oraz wzrostu eksportu i wyższych zarobków tych, którzy podejmą się działalności gospodarczej, nie nastąpią z dnia na dzień. Ale już pierwsze przedsięwzięcia powinny udowodnić ich opłacalność. A przykład podlega, zwłaszcza, gdy te opłacalność będzie widać poprzez sukcesy samochodów, we wzroście stopy życiowej osób tworzących nowe przedsiębiorstwa i zatrudnionych tamże.

Warto zaznaczyć, że gielda to tylko jedna z form rozbudowania indywidualnej i zbiorowej przedsiębiorczości, która ma charakter ciągłego procesu stwarzania przez administrację warunków do ujawniania się i realizacji inicjatyw.

— Na gieldę warto więc przysięść nie tylko z gotową ofertą, ale także po to, by móc ją spracować później.

— Słuszny pomysł.

— Dziękuję za rozmowę.

Twoja szansa w Łomżyńskim

prócz tego wszyscy zainteresowani uzyskają szeroką informację o nie wykorzystanych obiektach, mocach produkcyjnych, półproduktach i surowcach odpadowych oraz mineralnych. Przedstawimy także analizę rynku, z ukazaniem o szczególnym niedosyć produkcji i usług, żeby ewentualnie inicjatyw ukierunkować na potrzebną społecznie i jednocześnie opłacalną działalność.

Będzie to więc forum, którym wszyscy, myślący o tym, żeby robić więcej, lepiej i z większą korzyścią dla siebie powinni się zainteresować.

— Czy już dysponujecie konkretnymi propozycjami?

— Ze strony administracji oferta jest praktycznie gotowa.

klady pracy zaprezentują do zagospodarowania swój nie wykorzystany potencjał, czy potrzeby koprodukcji. A są one, naszym zdaniem spore. Dla przykładu w odlewni „Pogwiazd” wysokiej klasy obrabiarki wykorzystywana jest do szlifowania i gwintowania żelazek grzejników tylko przez kilkanaście godzin tygodniowo, a jej koszt byłby równy dwuletniemu funduszu rozwoju zakładu. Może znajdzie się ktoś, kto powie: dam wam robotę.

Oczekujemy też ofert od osób prywatnych, które dysponują chociażby nie wykorzystanymi budynkami, nadającymi się do adaptacji dla celów produkcyjnych. Takie oferty mogą być podjęte przez

sądu rejonowego dla dorosłych, on także opiekunem nadziebowym, wiedzieli, że ich obowiązek jest tkwić w społeczeństwie. Byli też w swojej społeczności sędziami, lekarzami, adwokatami, animatorami kultury i prawnymi wychowawcami. Przykład brali ze swoich przedwojennych nauczycieli, wzorczy działani wywiesili z organizacji młodzieżowych.

W 1960 roku on przeniósł się do Moniek, ona w dwa lata później. Wzięli pożyczkę, wybudowali własny domek. Pracowali w szkołach podstawowych, ona zawsze uczyła przedmiotów humanistycznych, on był matematykiem. Ukończyli studia nauczycielskie, on zaczął wyższe. Pracowali społecznie. Ona była trzema kadencjami radną, on — dwie. W Związku Harcerstwa Polskiego dołączył się stopnia harcmistrza Polski Ludowej. Działal w ZBoWiD i Związku Inwalidów Wojennych.

Są już sześć lat na emeryturze, ale przepowiednie koleżanek jeszcze się nie sprawdziły. Ciągle nie mają czasu, ciągle ciężko na nich ciężkie obowiązki. Oczywiście, praca kuratorska też bardzo absorbująca, a są kuratorami

cznych pana Wacława ma złą sytuację rodzinną. Sytuacja rodzinna przenosi się na społeczeństwo. Ono także jest rozbita, brak wzorców dobrego spędzania wolnego czasu, rozwijania zainteresowań. Na tę sytuację nie wolno bezczynnie patrzeć, w bezruchu tkwić niebezpieczeństwo, nowe nie przyjdzie samo. Trzeba działać, bo to przynosi efekty.

70 proc. podopiecznych państwa Kisiów „wychodzi na ludzi”. Po drodze są wahania, można być wykreślonym z listy, ale większość dozorowanych szczęśliwie dobiega do brzozy. To daje satysfakcję. Pani Edwarda, idąc do lekarza, spotkała młodą kobietę, żonę swego podopiecznego: — Proszę pani, jest dobrze! Mąż przysięgł, że nie będzie pił — i nie pił! Pani Edwarda cieszy się. A pan Wacław mówi, że najbardziej wzruszyło go takie podziękowanie, wdzięczność za pomoc chłopca: — Panie Kisio, jak ktoś pana znał, to niech pan da znać. Już ja z nim pogadam...

Rodzina Kisiów jest wielopokoleniowa. W domu, na piętrze, mieszka córka z mężem i dwójką dzieci. Wnuczek chodzi już do trzeciej klasy liceum, wnuk jest młodszy, uczy się jeszcze w podstawówce. Henryka Kisio-Topczewską ukończyła wydział psychologii i pedagogiki Uniwersytetu Warszawskiego, kierunek — pedagogika specjalna. Pracuje w Poradni Wychowawczo-Zawodowej w Mokich, Wzorem rodziców została kuratorem społecznym, tyle że IV Wydziału Rodzinnego i Nieletnich Sądu Rejonowego.

W środowisku najmłodszych i ich rodzin też jest wiele do zrobienia. Przestępczość nieletnich w tym re-

jonie wcale nie jest mała, a problemów opiekujących jeszcze więcej. Z racji swego przygotowania zawodowego pracy zawodowej potrafi skutecznie pomagać i dzieciom i rodzicom. Uważa tę pracę za ciekawą i satysfakcjonującą.

Wiele dzieci przechodzi przez moje ręce, ale nie ma przypadków powtarzających się — mówi. Jako ostatni w rodzinnym gronie kuratorów znalazł się Tadeusz Topczewski, zięć państwa Kisiów, także nauczyciel z wykształcenia. Kiedy jeszcze pracował w szkole rolniczej i miał kontakt z młodzieżą, nie dawał się namówić na funkcję kuratora. Absorbowało go zresztą także i harcerstwo. Ukończył jednak z powodzeniem studia w warszawskiej Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego i przeszedł do pracy w rejonowym doradztwie Wojewódzkiego Ośrodka Postępu Rolniczego. Wtedy zaczął dawać o sobie znać: z przyjemnością więc brał zajęcia na kursach dla młodzieży i on podjął obowiązki kuratora.

Sprawuje dozor nad młodzieżą, ale już doradca, z terenu wsi. Większość z nich ma fatalne warunki. Często przypadkowo zaplatała się w jakieś kłopoty, przeważają jednak kradzieże i rozbój. — Można im pomóc, gdyby tylko chcieli — twierdzi — ale nie zawsze korzystają z tej możliwości. Czasem wydają mi się, że trafia do nich to, co mówię, czasem znów, że jest to nieskuteczne. Jak groch o ścianę. Wacław Kisio nazwał to samo sinusoidą. — Ale mam trochę szczęścia — dodaje Henryk — i na ogół kończy się dobrze.

ANIELA ŁABANOW

PROSZĘ O GKOS!

Im więcej poza mną sejsi Wojewódzkiej Rady Narodowej, obrad Prezydium oraz (zwolnionych) przeze mnie, a faktycznie posiedzeń Komisji Nauki, Oświaty i Kultury teje WRN, tym większe odczuwam niezadowolone, abowiem niedoskonałość tych ciał dostojnych i godnych szacunku staje się coraz bardziej oczywista. Siedzący w moim historycznym pokoiu sobie czynię, że funkcjonowanie rad narodowych przypomina niekiedy działanie tak zwanych ziemstw powołanych do życia w carskiej Rosji przez Aleksandra II dekretem z dnia 1 (13) stycznia 1864 r. Działo się to w rok po wybuchu w Polsce powstania, które przyjęto w Petersburgu i Moskwie z niechęcią, nie tylko dlatego, że uderzało ono w samowładztwo, ale i z tego powodu, że właśnie

dać, że uchwała WRN była właściwie usankcjonowaniem istniejącego stanu rzeczy i trzeba było ją podjąć wyłącznie z względu na odpowiedni wymóg ustawowy. Podobnych spraw, którymi muszę parnąć się radni, jest znacznie więcej i nie byłoby one przeszkodą dla normalnego funkcjonowania regionalnego — sui generis — parlamentu gdyby nie ich liczba. Wystarczy zresztą spojrzeć na roczny plan pracy białostockiej WRN. Znajdziemy tu i sprawozdanie z realizacji uchwały sprzed czterech i pół roku „o sprawie oceny stanu i kierunków wykorzystania postępu biologicznego w rolnictwie”, sprawozdanie z działalności Izby Skarbowej oraz Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej, informacje o realizacji uchwały WRN (sprzed czterech i sprzed dwóch lat) w sprawie

Do dzieła, Panowie Rada!

w Rosji trwała odwilż zaczęta w dobie „wolny posewostopolskiej” po wojnie krymskiej, chłopów uwolniono z poddaństwa i planowano przeprowadzenie kolejnych reform liberalizujących warunki życia carskich poddańców. Powstanie groziło zahamowaniem tego procesu a nawet — przypuszczeniem ostrego kursu w polityce wewnętrznej.

Ziemstwa były instytucjami samorządowymi, jakie miały zająć się wydzieleniem zakresu spraw w guberniach i powiatach imperium rosyjskiego.

Tak więc przedstawiciele szlachty, mieszczaństwa i chłopstwa debatowali o przebiegu i stanie drogi, o ilości szpitali, aptek i szkół, o kondydatkach do stanu urzędniczego i wymogach, jakie im należało postawić. Lata no nędzny budżet nowo ustanawianymi opłatami za przejazd przez miejscie rogatki oraz podnoszone wysokości starych podatków względnie wprowadzanie nowe. A co się przy tym nagadano, naspierniano, wytknęło...

Jaki był tego efekt? Prawda powiedziawszy — żaden. Wprawdzie gdzieniedzie polepszył się stan sanitarny powiatu, zwiększyła liczba hoteli, zażądano oraz publicznych studzien z wodą pitną, ale i tak carat pozostał caratem. Żadną z ziemstw i nikt z zasiadających w nim delegatów, żaden ze stanów nie odważał się podjąć myśi samowładności monarchy. Nikt nie zdobył się na otwarcie krytykę osoby i poczynania władcy oraz działań jego ministrów.

Stwierdzano: „To nie należy do kompetencji ziemstwa!” Rzeczywiście. Dekret szczegółowo określał, co ziemstwom wolno, a czego im się zabrania. Rady narodowe znajdują się w sytuacji znacznie lepszej. Ich uprawnienia są znacznie szersze i tylko ich winą jest niewykorzystanie istniejących możliwości. Zwrócił na to uwagę ostatnio jeden z radnych, domagając się odejścia od załatwiania na plenarnych sesjach Wojewódzkiej Rady Narodowej spraw mających dziesięciokrotne znaczenie, w rodzaju — chociażby — wyrażenia zgody na funkcjonowanie urzędu celnego w Kuźnicy na obszarze całego województwa. W tym wypadku można do-

działalności gospodarki komunalnej i jej rozwoju oraz w sprawie rozwoju przemysłu rolnopospolczego czy wreszcie informacji o realizacji zadań podejmowanych w ramach Narodowego Czynu Pomocy Szkole. Gdyby spojrzało na plan pracy Prezydium WRN, kwestii tego rodzaju znajdziemy znacznie więcej, nie mówiąc już o tych, które wynikają nagle i wymagają rozstrzygnięcia podjętym niemal z dnia na dzień. W przynajmniej większości wypadków Wojewódzka Rada Narodowa nie ma możliwości wprowadzenia zmian na własną rękę, bowiem musi wykonać obowiązki narzucone jej przez ustawodawcę.

Co więc czynić?

Jeden z moich przyjaciół, u którego zasięgałem rady, dzieląc się z nim swoimi wątpliwościami, rzekł: „Nie dajcie się zwariować! Latwo powiedzieć...”

Wydaje mi się, że jednym z czynników utrudniających podjęcie permanentnej dyskusji nad najważniejszymi problemami województwa i kraju jest rozparcelowanie możliwości jej przedmiotów do odpowiednich komisji „resortowych”. W Komisji Nauki, Oświaty i Kultury możemy będziemy na przyszłość o ochronie zabytków, o problemach środowisk twórczych, o kulturze wiejskiej i o perspektywach i warunkach utworzenia uniwersytetu w Białymstoku. Oprócz tego mieliśmy będziemy — proszę wybaczyć — obowiązkiem sięgającym się na przykład z informacji o stanie przygotowań do zimowego wypoczynku dzieci, do akcji letniej i do rozpoczęcia nowego roku szkolnego. Co z tego trafi na sesję plenarną? Raczej niewiele. Dość wypadła, że ogromny program rozwoju kultury w województwie rozpatrywaliśmy będziemy na obradach plenarnych łącznie z punktami dotyczącymi oceny funkcjonowania rynku, ustaleniem obszarów intensywnego rozwoju produkcji rolniczej i leśnej etc. etc.

Zdrowy rozsądek nakazuje dokonanie wyboru, który z problemów uznamy za najważniejszy. Mam nadzieję, że nie będzie nim sprawozdanie z realizacji uchwały WRN sprzed lat prawie pięciu.

Do dzieła więc, Panowie Rada!

WŁADYSŁAW A. SERCZYK

Kuratorzy

Kuratorami społecznymi zostali z chwilą przejścia na emeryturę. — Będziecie im teraz dużo czasu — namawiali koleżdy nauczyciele, którzy już pełnili podobne obowiązki — a kuratorzy są bardzo potrzebni. Tak im się życie układało, że oddał pamięć, robił wszystko razem. Mieszkał w jednej wsi, w DOLISTOWIE NOWYM, chodzili do tej samej szkoły. Nie wszyscy chcieli to wiedzieć, ale w dwudziestolecie dzieciom chłopskim wcale łatwo się nie żyło. Szkoła była niby dla wszystkich, ale w ciągu siedmiu lat kończyli się tylko czteroklasówkę. Aby dalej się uczyć, trzeba było chodzić dwadzieścia kilometrów do Goniądza.

EDWARDA i WACŁAW KISIOLEWIE „pobrali” się w 1939 roku. We wrześniu rozdzieli ich wojna na długie sześć lat. On walczył pod Częstochową pod Radomem, w okrażeń, dostał się do niewoli. Potem był Stalag 8 a w Goerlitz i Stalag 6 a w Westfalii, dwukrotnie uciekł, karne kompanie, przymusowe prace. W dniu wyzwolenia, podczas nalotu, został ciężko ranny: miał strąskaną nogę.

Pierwsze sześć miesięcy wolności spędził w alianckim szpitalu, na operacjach. Gdy wrócił do domu, w listopadzie 1945 roku, był jeszcze inwalidą; rehabilitacja zajęła mu dziewięć lat. I ten fakt zadecewował o ich dalszych losach. On chciał zawsze pracować na roli, ale do tego potrzebna jest sprawną fizyczną, zostali więc nauczycielami. Łącznie z u-miowaniem wiedzy byli wtedy oczywiście również bardzo potrzebni — tak to rozumieć.

Krótko uczyli w rodzinnej wsi, a potem przez 16 lat w Przylucie. On pełnił funkcję kierownika. Przez ten czas byli wychowawcami aż trzech pokoleń; Zaraz

po wojnie, w szkolnej ławie, zasiadali młodzież — bardzo młodość, która niedługo zakładała rodziny i miała dzieci. Dla nauczycieli był to najwspanialszy okres, ludzie garnęli się do nauki, a oni sami też dokształcali się. Ona na przykład musiała opanować język rosyjski, był to obowiązkowy przedmiot, a rosyjszczyzna nikomu wówczas nawet się nie marzyła. Tak więc przygotowywała się do każdej nowej lekcji, aby umieć o stronę więcej od uczniów.

Szkoła stała się wówczas centrum całego życia na wsi, chociaż był to tylko baryk z żelaznym piecykiem i natowymi lampami. Trochę później pan kierownik zbudoował wiatraczek i zabłysło własne światło elektryczne. Czego też w tamtych czasach w szkole nie było! Kuratorzy dla alfabetów, wieczory czytelnicze, chór amatorów, zespół teatralny, szkolne rolnicze, poletka doświadczenia, pokaz pracy pierwszego we wsi sieniwnika, akcja zwalczania ośw. Ona założyła koło gospodyń wiejskich, urządziła pokazy. On prowadził harcerstwo. Nauczyciele pracowali od 8

do 23, nikt nie liczył godzin nadliczbowych, wiedzieli, że ich obowiązek jest tkwić w społeczeństwie. Byli też w swojej społeczności sędziami, lekarzami, adwokatami, animatorami kultury i prawnymi wychowawcami. Przykład brali ze swoich przedwojennych nauczycieli, wzorczy działani wywiesili z organizacji młodzieżowych.

W 1960 roku on przeniósł się do Moniek, ona w dwa lata później. Wzięli pożyczkę, wybudowali własny domek. Pracowali w szkołach podstawowych, ona zawsze uczyła przedmiotów humanistycznych, on był matematykiem. Ukończyli studia nauczycielskie, on zaczął wyższe. Pracowali społecznie. Ona była trzema kadencjami radną, on — dwie. W Związku Harcerstwa Polskiego dołączył się stopnia harcmistrza Polski Ludowej. Działal w ZBoWiD i Związku Inwalidów Wojennych.

Są już sześć lat na emeryturze, ale przepowiednie koleżanek jeszcze się nie sprawdziły. Ciągle nie mają czasu, ciągle ciężko na nich ciężkie obowiązki. Oczywiście, praca kuratorska też bardzo absorbująca, a są kuratorami

IMPONUJĄCY DOROBIEK

Wiedniu zakończyła się przed tygodniem, trzecia po Belgradzie i Madrycie, debata pohlowska 35 państw europejskich oraz Stanów Zjednoczonych i Kanady. Trwała z górą dwa lata, ale jej dorobek jest imponujący. Dość powiedzieć, że w sprawach które budziły kiedyś największe spory, takich jak prawa człowieka czy w ogóle problemy humanitarne, znaleziono teraz swój język.

Wiedeński dokument odzwierciedla otóż wszystkie pozytywne zmiany zachodzące na naszym kontynencie. Stanowi on swego rodzaju fundament pod budowę wspólnego domu od Atlantyku po Ural. Jego postanowienia, które wszyscy signatariusze zobowiązali się przestrzegać, dotyczą dosłownie każdego człowieka, każdego z nas. Nakazują bowiem poszanowanie takich wartości jak wolność słowa i przekonywanie religijne, swobodny wybór żółd informacji, prawo do słowozwania się i zgromadzeń, czy wreszcie prawo opuszczenia każdego kraju, w tym także własnego oraz prawo do powrotu. Dokument ten przewiduje także, że w ciągu najbliższych trzech lat odbędzie się kolejne konferencje poświęcone prawom człowieka — w Paryżu, Kopenhadze i Moskwie. Odbędzie się ponadto spotkanie poświęcone wymianie informacji w Londynie oraz sympozja: kulturalne w Krakowie, ekonomiczne w Bonn i ekologiczne w Sofii. Przypomnieć również warto, że równoległe do konferencji 35 państw, toczyły się rozmowy tzw. „Grup 23” (16 państw NATO i 7 Układu Warszawskiego) nad przygotowaniem mandatu dla rozpoczęcia rokowań w sprawie redukcji broni konwencjonalnej w Europie. I w tej dziedzinie, po blisko piętnastu latach, doszło do porozumienia. Rokowania w tej sprawie rozpoczęła się już w marcu w Genewie.

Tak więc finał wiedeński, spotkanie, jest zgola odmienny niż jego inauguracja. Bo też trzeba podkreślić, że nie-

DOBRY ZWIASTUN

Na styku dwóch państw koreańskich zaczyna się coś zmieniać. Mur nieufności, czy wręcz wrogości, wydaje się z wolna kruszyć. Jest to dobry zwiastun nie tylko dla Koreńczyków, ale także dla świata. Dowodzi bowiem, że i tu zaczyna docierać klimat zbliżenia, pojednania.

Wysiłki na rzecz nawiązania bezpośrednich kontaktów długo nie przynosiły rezultatów.

konfrontacji na Półwyspie Koreańskim dobiegł, względnie dobiega końca. Tymczasem pierwszy szlak na północ przeciera prezydent Federacji Przemysłu Korei Południowej, człony przedstawiciel tamtejszego biznesu — Czon Dzu Jang. Jak można było przypuszczać nie było to takie łatwe. Chcąc wyjechać do Phenianu musiał najpierw udać się po wizę do ambasady KRDL w Pekinie. Ale i tę przeszkodę pokonał. Obecnie bada możliwości przemysłu i potrzeby tamtejszego rynku z myślą o utworzeniu wspólnych przedsiębiorstw. Te pierwsze oznaki zbliżenia między państwami koreańskimi. Niedawno mianowicie doszło do nawiązania stosunków dyplomatycznych między Koreą Po-

związany z jubileuszem wybitnego działacza SPD, byłego kanclerza federalnego Willy Brandta, drugi — roboczy, a raczej sondazowy, w aspekcie poprawy stosunków polsko-zachodniemieckich. I choć pierwszemu dodawała blasku obecność wielu czołowych polityków europejskich, w tym szefów rządów i szefów państw, to jednak bardziej interesujący dla nas był ten wymiar drugi.

Stosunki między Polską a Republiką Federalną Niemiec nie są oczywiście złe. Mogłyby być jednak znacznie korzystniejsze. Dotyczy to zwłaszcza sfery gospodarczo-financej. To prawda, że jesteśmy poważnym dłużnikiem Bonn; nasze pasywa sięgają wszak rzędu 17 mld marek. Ale prawdą jest również i to, że nie chcemy jedynie odblokowania hamulców utrudniających współpracę gospodarczą i wymianie handlową. Jest to jedyna droga pozwalająca na stopniowe likwidowanie naszego zadłużenia. Otóż przed rokiem wydawało się, że zostanie zrobiony na tej drodze istotny krok naprzód. Upoważniona do tego warszawska wizyta szefa bnijskiej dyplomacji — Hansa Dietricha Genschera. Tak się jednak nie stało. Strona zachodniemiecka tłumaczyła to później brakiem stabilizacji politycznej i gospodarczej nad Wisłą. Czy obecnie, po owocnej acz pracowniciej wizycie premiera Rakowskiego nad Renem, nastąpi na tym polu przełom?

Wszystko przemawia „za”. Sadzę, że przyszłowiowa kropka nad „i” postawi kanclerz federalny — Helmut Kohl, w czasie zapowiadanej wizyty w Warszawie. Do takich przypuszczeń skłaniają nie tylko aspekty gospodarcze, ale również historyczne. Zbliża się do 50. rocznicy wybuchu II wojny światowej. Czas więc najwzajemniej aby poszywać rany, choćby miały — jak pisał jeden z dzienników bońskich — pozostać nawet blizny.

MIECZYSLAW CHAJA

OPINIE-KOMENTARZE-REFLEKSJE PANORAMA TYGODNIA

Dopiero noworoczne orędzie przywódców Północy i Południa — Kim Ir Sena i Ro Te Wu — zawierające propozycje poprawy wzajemnych stosunków, ożywiły nadzieje na złagodzenie napięcia. Pierwsze tego oznaki są już widoczne. Oto coroczne manewry wojsk amerykańskich i południowokoreańskich, które wywoływały w Phenianie stan zagrożenia i budziły liczne protesty, odbędą się tym razem na znacznie mniejszą skalę. Doszło także do ustalenia terminu spotkania pełnomocników obu stron, które rozpocznie się 8 lutego. Mają oni omówić warunki i przygotować grunt do dialogu premierów obu państw. I gdyby wszystko przebiegało pomyślnie, wówczas można byłoby powiedzieć, że 40-letni okres antagonizmów

ludniową i Wegrami. Natomiast kilka dni temu zostało otwarte w Seulu radzieckie przedstawicielstwo handlowe. Podobne formy kontaktów utrzymuje kilka innych krajów socjalistycznych. To także wpływa na zbliżenie w płaszczyźnie Seul-Phenian.

Cóż, klimat odprężenia i współpracy w stosunkach Wschód-Zachód robi swoje. Jest to — jeśli tak rzecz można — jeden z najbardziej charakterystycznych znaków naszych czasów.

DWA WYMIARY

Nieoficjalna wizyta premiera Mieczysława Rakowskiego nad Renem miała niejako dwa wymiary. Jeden — kurtuzyjny,



Białostockie obrazy Fot. Jacek Sienko

Ten 47-letni mężczyzna, dla którego każdy rok życia jest wielką łaską, a który jest coraz bardziej znany i popularny na całym świecie, nazywa się STEPHEN HAWKING. Od 25 lat cierpi on na chorobę znaną jako stwardnienie boczne rdzenia kręgowego. Przy „normalnym” rozwoju tej choroby pacjent nie przeżywa więcej niż trzy do pięciu lat. Jakby na przekór wszystkiemu S. Hawking żyje i myśli – tworzy w dziedzinie nauki.

Ten matematyk i fizyk z wykształcenia, absolwent uniwersytetów w Oxford i Cambridge, w wieku 24 lat obronił pracę doktorską i wkrótce po tym powierzono mu katedrę w Cambridge, tym akademikiem Olimpię fizyki teoretycznej. W tym czasie przedstawił światu hipotezę kosmologiczną dotyczącą „czarnej dziury”. To były dokonania naukowe, natomiast w życiu rodzinnym, tak, jak, ożenił się z absolwentką lingwistyki – JANE WILDE i ma trojkę dzieci: Roberta – 21 lat, Lucy – 18 i Timothy – 9 lat.

NA ZDZIĘCIU: prof. S. Hawking (z prawej) w czasie rozmowy z dziennikarzami „Der Spiegel”.

prawej) w czasie rozmowy z dziennikarzami

czestniczenia w spotkaniach z tak ciekawymi ludźmi, jak historyk

Łęka, Łomża, Siedlce, Augustowa, Sokółki, Zambrowa, Olsztyn, Elku, Giżycka i z wie-

...z dawnymi współkatorz-
ni, z którymi lat dziesiątki się
widzieli. Nie zapewniono tm

musiało się odbyć w ta-
n warunkach ma też swoje

ALICJA ZIELIŃSKA

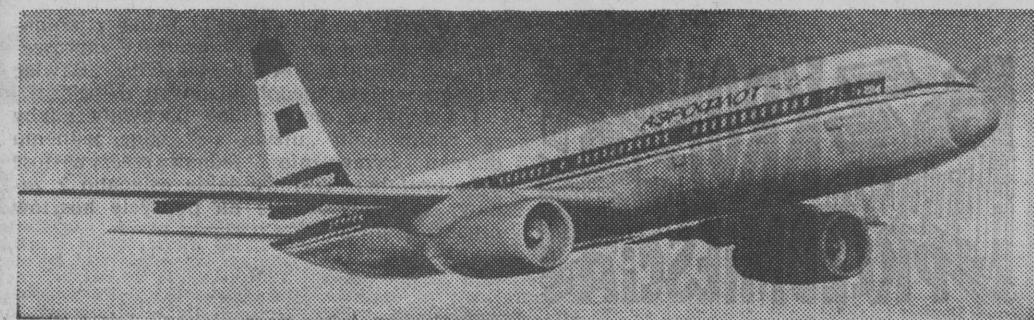
GŁOWY „MYŚLA”!

Zesłańcy Sybiru chcieli podyskutować, pytać, po ludzku się wyrazić. A także spotkać się z po-
datą z dawnymi współkatorżni-
kami z którymi lat dziesięć się

nie ludzie pragnących pra- mi
wać w przyszłym związku. cach
t więc nie stał za organi- dzie
ją tego spotkania. A to, w „
musiało się odbyć w ta-

rganizatorskimi. O pra
Związku Sybiraków bę
y na bieżąco podawa
azecie”

ALICJA ZIELINSKA



A. TUPOLEW i jego lotnicza rodzina

U góry — TU-204, nowy samolot z rodziny liniowców, opracowany w biurze konstrukcyjnym (BK), które organizował i prawie pół stulecia kierował nim Andriej Nikołajewicz Tupolew (1888—1972). Pod jego kierownictwem opracowano ponad pięćdziesiąt oryginalnych samolotów, a każdy z nich określał poziom lotniczej nauki i techniki właściwy dla swego czasu. Na samolotach Tupolewa ustanowiono ponad 100 światowych rekordów — udźwigu, zasięgu lotu i jego prędkości.

W listopadzie br. minęło stulecie urodzin znakomitego inżyniera. W związku z tym red. J. NIECHAMKIN z „Sowieckiego Sojuza” o podzieleniu się wspomnieniami poprosił członka akademii — ALEKSIEJA TUPOLEWA, kierującego obecnie biurem konstrukcyjnym noszącym imię jego ojca.

Życie i praca... Mówiąc o Andrieju Nikołajewiczu można rzec, że całe jego życie było pracą. Pracował z zapalem, bez przerwy. Kierował się zasadami nauki. We wszystkich przypadkach dążył do wypracowania takiej metody, z pomocą której można by wytwarzać taką czy inną technikę. Dotyczyło to zarówno konstruowania samolotów, aeroplanów, silników, jak i... hodowli porodników (był taki epizod w naszym powojennym życiu, że dzięki jego metodom hodowlanym z niewielkiej dzierzki zebraliśmy ich pół tony).

Ala sprawą główną były oczywiście samoloty. W celu ich opracowania stworzył swoją szkołę, opartą na podstawach wiedzy naukowej. A wszystko to zaczęło się od tego momentu, kiedy został studentem pierwszego roku obecnej Moskiewskiej Wyższej Szkoły Technicznej i zapisał się tam do kółka założonego przez ojca rosyjskiej awiacji Nikołaja Jegorowicza Żukowskiego. Podobnie jak w każdej swojej pracy i tam w Tupolew zaczął od analizowania, co już wiadomo, czego należy się dowiedzieć, jakimi metodami, jakimi przyrządami.

Przywiązanie do nauk fundamentalnych coraz bardziej widoczne było, kiedy A. Tupolew zaczął budować swoje samoloty. Do tej pory aktywnie pracował już kolekcji Centralnego Instytutu Aerohydrodynamicznego, powołanego z woli Żukowskiego i Tupolewa w 1918 roku. Zaczęły się od nauki Tupolew kolejno dążył do stworzenia całej gamy przemysłu lotniczego, do masowej produkcji samolotów. Właśnie tak rozumiał swoje zadanie.

Tu też zaczął od analizy: z czego lepiej wykonywać samoloty — z drewna czy metalu? Cały świat w tym czasie budował maszyny latające z drewna. W Rosji nie brakowało go, a potrzebny metal nie było wcale. Ale Tupolew doszedł do wniosku — wykonywać tylko z metalu i ten pomysł wyciął do swego programu, który z powodzeniem realizował ze swoimi uczniami.

Działalność jednak rozważnie, stopniowo porównując każdy krok z nauką. Zaczął od budowy aeroplanów, przeszedł na kutry, silniczek z metalu, i dopiero wtedy, mając doświadczenia z nauki, zaczął badania naukowe i praktykę, zajął się śmieszna konstrukcją — drewno z metalem. Ale już ANT-2 (1924 r.) był pierwszym radzieckim samolotem pasażerskim i jednym z pierwszych na świecie, zbudowanych tylko z metalu.

O Andrieju Nikołajewiczu krążyły legendy — o jego intuicji „wyczuwaniu” konstrukcji, pomysłowości... Słusznie. Niekiedy chcą go przedstawiać przede wszystkim jako wynalazcę, którego „oślna” intuicja... To oczywiście bardzo niekompletna charakterystyka. On nie

Z teki Henryka WILKA

ZESPÓŁ POKLASZTORNY W BIELSKIM PODŁASKIM jest jednym z najstarszych tego rodzaju budowli w północno-wschodniej Polsce. Zbudowali go około połowy XVII wieku karmelici, których sprowadził tutaj w roku 1633 pochodzący z podbielskich obojętne zakonnik Elżbieta Niwinski.

Fundatorem klasztoru był marszałek nadworny koronny Adam Kazanowski herbu Grymoja, „którego i jego małżonki staraniem — jak zapisali w swej kronice zakonnicy — otrzymaliśmy miejsce niedaleko rynku, w samym mieście, gdzie Marszałek kazał budować kościół wielki z grobami i wieżą od samych fundamentów z muru”.

Budowę klasztoru i kościoła ukończono na kilka lat przed szwedzkim „potopem”. W czasie działań wojennych w roku 1655, w których poważnie zostało zniszczone miasto, klasztor uciepiał stosunkowo niewiele. Toteż w roku 1659 ze swego zrujnowanego klasztoru przenieśli się tutaj karmelici z Wilna.

Pierwotny wygląd architektoniczny bielskiego klasztoru nie jest znany, nie zachowały się bowiem żadne przekazy ikonograficzne. Znać są natomiast informacje, że w latach 1779—1794 w obiektach tego zespołu prowadzona była przebudowa. Prawdopodobnie w tym właśnie okresie klasztor otrzymał barokowy wystrój.

Po trzecim rozbiore Polski Bielsk znalazł się w zabiorze pruskim. Prusacy dokonali kaskadji klasztoru, a jego pomieszczenia, zaadaptowali na więzienie i izbę skarbową.

Funkcję więzienia budowała ta spełniała również za czasów zaboru rosyjskiego, przy czym Rosjanie rozbudowali cały obiekt, dostawiając wschodnie skrzydło oraz dwie narożne strażnice więzienne w kształcie pseudobronnych wież.

Więzienne funkcje dawne cele karmelickie spełniały aż do roku 1929, kiedy to prze-

budowano je na pokoje żeńskiego internatu Gimnazjum Państwowego. Ale o jakimś czasie znów nastąpiły kolejne zmiany użytkowników i dalsze przebudowy.

Po wojnie w murach tego

zabytku mieścił się urząd bezpieczeństwa z aresztem, przedszkole i poczta.

Częste przeróbki i adaptacje wnętrza spowodowały znaczne zniszczenia oryginalnych,

XVII-wiecznych murów i detali.

Do odbudowy tego zabytku przystąpiono dopiero w roku 1977, a pod koniec 1983 r. oddano go w użytkowanie Państwowej Szkole Muzycznej.



Seansów, które umownie nazywam „podróżą w czasie” przeprowadzono dotychczas w Białymstoku kilkanaście. Wszystkie prowadził wspomniany już przeze mnie kilkakrotnie białostocki bioenergo-terapeuta, członek Polskiego Towarzystwa Psychicznego — inżynier WIESŁAW SZYMAŃSKI. Byłem przy wszystkich. Wszystkie zostały dokładnie zdokumentowane. Zarejestrowano je na taśmie magnetofonowej, bądź też sporządzono z nich szczegółowy zapis stenograficzny. Na pytanie: po co? — odpowiedź krótko: dla zasady. Nie wiemy bowiem wcale, czy nie przyjdzie taki czas, że ktoś będzie chciał je przestudiować nie jako ciekawostkę, ale jako materiał badawczy.

Przedstawili mi „GW” jeden z seansów podczas którego pacjentka przyniosła się do Francji, do wielkiej wsi, czy majątku pod Paryżem. Udało się uzyskać kilka dat, kilka imion, kilka faktów. Tajemnicza pozostała — dlaczego Marianne nie może mówić. Roboczo hipoteza, sformułowana po pierwszych dwóch czy trzech seansach, głosiła, iż był to skutek trudnego i, skomplikowanego porodu, podczas którego zmarła matka Marianne. Chcieliśmy jednak o tej dziewczynie wiedzieć jak najwięcej. Tym bardziej — o czym pisałem — że pacjentka, która „podróżowała w czasie” nigdy we Francji nie była, nie znała nawet francuskiego. Nie mogła też znać herbu rodu Bourville, który podczas jednego z seansów narysowała.

Za jej zgodą inżynier Jabłonowski przeprowadził jeszcze jeden seans. Chcieliśmy uzyskać kilka dodatkowych informacji.

Faza wstępna, wprowadzenia w stan głębokiej hipnozy (gdzie tylko taki gwarantuje powodzenie tego typu eksperymentu) w przypadku osób już po kilku seansach, jest znacznie krótsza i wynosi od 15 do 20 minut. A więc najpierw relaks, wypocinek, uspokojenie wewnętrzne, później — co było w tym przypadku — dziecięcy, dziecięcy, niemowlęcy, wręcz się słysząc konkretnie polecenie.

Hipnotyz — Co mamy się do roku 1892. Spokojnie, jest rok 1892. Ile masz lat?

Pacjentka — ... dwadzieścia pięć... (to już jest reguła, że o sobie „podróżując” nie myśli się w danych ani razu, podobnie jest tutaj — lata zgadnąć się do joty).

H. — Gdzie jesteś?

H. — ...woda, drzewa...
H. — Jesteś sama?

H. — ...tak... (ta chwila zastanowienia — takie jest nasze interpretacyjne przypuszczenie — to moment, kiedy pacjentka, pardon — Marianne, „rozgląda” się wokół).

H. — Jak się nazywasz?

H. — Marianne... (odpowiedź zaskakująco szybka).

H. — A nazwisko?

H. — ...Marianne... (szepem) — de Wojs... (naturalnie trzeba to napisać fonetycznie — przypuszczamy, że może to być de Voice).

H. — Jak się ta miejscowość nazywa?

H. — ...nie wiem!... pierwsza litera to P...
H. — A dalek?

H. — ...nie wiem!...
H. — Spokojnie, dobrze, uspokój się. Podaj datę swego urodzin Rok?

H. — ...tysiąc osiemset sześćdziesiąty siódmy...
H. — Miesiąc?

H. — ...Natasza mówiła...
H. — Masz zdjęcie?

H. — Jak mama wyglądała?

Zanim usłyszeliśmy odpowiedź na to pytanie, twarz pacjentki zmieniła się, przybierając wyraz rozmarzonej, zachwyconej twarzy dziecka, z uśmiechem autentycznego szczęścia.

H. — Znałaś matkę?

H. — Nie... (coż za ogromna, w ułamku sekundy dokonana zmiana wyrazu twarzy, niesamowite).

H. — Nie widziałas jej nigdy?

H. — ...nigdy!...
H. — Kiedy zmarła?

H. — ...tysiąc osiemset sześćdziesiąty siódmy...
H. — Miesiąc?

H. — Dzień?

H. — Dwunasty...
H. — Podczas twoich urodzin?

Zamiast odpowiedzi grymas na twarzy, nagle wzburzenie, oddech, gwałtowny ruch gałek ocznych pod powiekami. Wydaje się, że to pytanie było już niepotrzebne. Można by spróbować — pomyśleliśmy potem — pójść dalej i poprosić Marianne o opis tego porodu, ale byłby to już znęcanie się nad pacjentem — a tego ani lekarzowi, ani hipnotyzerowi robić nie wolno. Nigdy i pod żadnym pozorem. Nawet za cenę niepowtarzalności przekazu.

H. — Uspokój się. Oddychaj.

Zastanawialiśmy się, czy pytać Marianne o jej matkę. Jeśli potwierdzi się, że matka zmarła przy porodzie, dziewczynka może o niej nie wiedzieć. Chyba że ma po matce jakieś pamiątki. Inżynier Jabłonowski — do tej pory nie pozwalający na sugerowanie jakiegokolwiek pytań do osoby hipnotyzowanej, dał się jednak namówić. Oczywiście — pytanie musiał zadać on sam — bowiem osoba w stanie hipnozy reaguje tylko na jego głos.

H. — Jak się nazywała twoja matka?

H. — ... (długa chwila) ...
H. — To ładne imię.

H. — ...Natasza mówiła...
H. — Masz zdjęcie?

H. — ...z zdjęciem... nie, to... obrazek...
H. — ...mały... malowana...
H. — Portret?

Przypuszczalnie — nastąpiła pełna identyfikacja z postacią Marianne. W tym momencie oglądająca odczytywała sytuację pacjentki całkowicie zidentyfikowała się z osobą Marianne. Niemniej jednak — do dziś faktu tego nie potrafimy sobie wytłumaczyć do końca.

Kilka następnych pytań pozwoliło uzyskać odpowiedzi, dzięki którym obraz Marianne stał się pełniejszy. Ojciec wstydził się dziecka — niemowię, nie zabierał jej ze sobą dalej, niż na konną przejażdżkę. Marianne pozostała pod opieką piastunki — Nataszy.

Doskonałe znała dom, ogród, pobliską rzekę i las. Mniej potrafiła powiedzieć o właścicielu majątku — panu Alfredzie, u którego jej ojciec pracował.

P. — ...oj!... ciężko... głowa boli!... oj!... (a zaraz po chwili, z ogromną ulgą już bez napięcia na twarzy) ...uff!

H. — Co czujesz?

H. — ...nie wiem...
H. — Co się stało?

H. — ...śmierdzi!!!
H. — Dobrze, jesteś spokojna, jest ci dobrze, opuszczamy to miejsce, jesteś znowu tutaj, w tym pokoju, wypocnij, zrelaksuj się, jest ci dobrze, wypocznij. Oddychaj, świeżym powietrzem, wypocznij. A kiedy doliczę do trzech — otworzysz oczy i obudzisz się wypoczęta, zrelaksowana, spokojna. Jeden... dwa... trzy... otwórz oczy, obudz się.

Tak się kończy kolejna podróż w czasie. Tak się kończy kolejny seans hipnozy. Trwał niespełna godzinę. Czy rzeczywiście? A może trwał prawie sto lat? A może gdzieś tam w majątku Bourville pod Paryżem Marianne spaceruje po ogrodzie? Tylko jaki to wymiar? Który? Czy mierzony czasem w naszym ludzkim rozumieniu? A może to czas nas samych, naszej psychiki? Może ciągle jeszcze nie wiemy o sobie nic? Może — jak powiedział pewien poeta — rzeczywiście „kosmos jest we mnie, w każdym z nas osobno...”.

Nie sprawdzaliśmy, czy Alfred de Bourville rzeczywiście posiadał majątek pod Paryżem. Nie sprawdziliśmy też, czy zarządca tego majątku był Pierre de Voice, mąż Natalii, ojciec Marianne. Nie będziemy szukać tych nazwisk we francuskich herbarzach. Nie zrobiliśmy i tego nie zrobimy.

Ala daliśmy do przeczytania ostatni fragment spisanej z tamtych relacji z roku 1957 matce naszej pacjentki. Zaskoczona, że łzami w oczach, potakując kiwała głową. Dzień przez porodem boleśnie uderzyła się bruchem w kłamkę u drzwi.

Moje z Sergo niepokoiły się — co się stało? Chcieliśmy wyjaśnić to. Okazało się, że Adzubej nie wie.

Zadzwoniłem do mnie za dziesięć minut, postaram się dowiedzieć — powiedział.

Po dziesięciu minutach jego głos zmienił się nie do poznania. Nikt mi niczego nie powiedział. Tylko dyżurny z Kremia oznajmił, że faktycznie trwa posiedzenie Biura Politycznego KC. Programu dnia nie znał.

My z Sergo też nie nie wiedzieliśmy, ale niektóre sprawy usłowoiliśmy sobie wyobrazić.

Jeśli można przyjechać do domu — prosiłem Adzubeja.

Prawdopodobnie nie miał już więcej ważnych spraw — ciągnął dalszy na str. 6

SPISEK

Zaczęłam opowiadanie o mojej rozmowie z Golukowem a zakończyłam spotkaniem z Wnukowem, starając się nie uronić szczegółów.

Co się teraz dzieje? Mały tylko niejasne przypuszczenia. Sytuacji na Kremlu nie zna nikt.

Spacerując, wymieniałyśmy różne warianty. Wpadłem na pomysł, żeby zadzwonić do Adzubeja. Przecież on jest naczelnym redaktorem „Izwestij”. Być może coś mu wiadomo. Do domów postanowiliśmy nie zachodzić, żeby nie wprowadzić w temat naszych najbliższych. Nie ma powodów do przedwczesnej

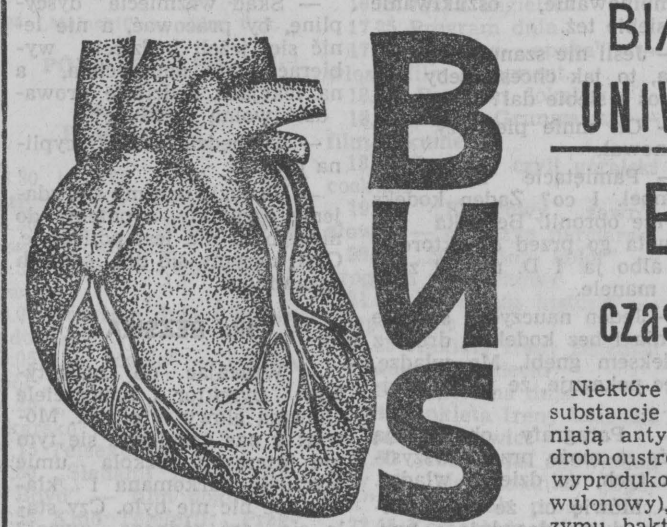
paniki. Wstąpiwszy do dyżurki ochrony wykryliśmy numer Adzubeja. Korzystaliśmy z telefonu linii rządowej i on sam podniósł słuchawkę.

Poznajac mnie po głosie Adzubej odpowiedział, że jest bardzo zajęty i przyjechał w żadnym wypadku nie może.

Zaczęłam mu tłumaczyć, Adzubej odpowiadał wciąż ostrzej i coraz bardziej nerwowo.

Powiedział przez telefon o co chodzi, a tym bardziej z dyżurki — to było ryzyko. Mimo to podjąłem decyzję.

Ojciec i Anastasia Iwanowicz terminowo wezwano z Picundy na Kreml, na posied-



BIAŁOSTOCKI UNIWERSYTET SERCA Bakterie czasem przegrywają

Poprzedni wykład wyjaśnił, dlaczego istnieje konieczność bardzo starannego przemysłowej terapii antybiotykiem w bakterieryjnym zapaleniu wsierdza. Po dokonaniu rozpoznania lekarz dąży do ustalenia dwóch danych: 1. które bakterie są odpowiedzialne za chorobę, i 2. jakimi antybiotykami najlepiej je zwalczać. W języku lekarskim określa się bakterie jako „wrażliwe” lub „oporne” na antybiotyki.

Bez pomocy mikrobiologów niemożliwe jest uzyskanie odpowiedzi na te pytania. W oddziale szpitalnym, w którym przebywa chory, czeka się cierpliwie na każdy skok gorączki. Gdy on się zjawia, pielęgniarzka pobiera krew żylną do specjalnie wykalibrowanych probówek, zamyka się je szczelnie i przesyła do zakładu mikrobiologii. Tu czeka na krew do naczyń, zawierających odpowiednio dobrane pożywki, stanowiące one swego rodzaju pokarm, umożliwiający szybkie, rozmarzanie się drobnoustrojów. Nie będzie myślał o opisywaniu szczegółów identyfikacji bakterii i sposobów oceny ich wrażliwości lub oporności na antybiotyki. Jest to zajęcie żmudne i wymagające zegarmistrzowskiej precyzji. Czasami nie udaje się w ogóle wyhodować żadnego szczepu. Tak dzieje się zwłaszcza wówczas, gdy choroba niedawno leczono antybiotykami. Nierzadko trzeba odczekać kilka dni i ponownie wszcząć poszukiwanie bakterii.

Gdy wreszcie zadanie się powiedzie, lekarz już wie, jaka bakteria wywołuje chorobę i jaki antybiotyk jest najlepszy do jej zwalczania.

Leczenie zaczyna się zawsze od stosowania możliwie największych dawek. Bywa i tak, że pacjent otrzymuje jednocześnie dwa antybiotyki. Wiadomo, że dwie armaty są skuteczniejsze niż jedna.

Przytaczamy te informacje, by potwierdzić raz jeszcze słuchaczom, że między światem medycyną a bakteriami toczy się od lat zawzięta wojna.

Kuracja musi trwać odpowiednio długo, znacznie dłużej niż w przypadku płuc. Zarazczyj już w pierwszych dniach spada gorączka. Stopniowo cofają się i inne objawy. Zwalcza się szybko czynność serca, wraca apetyt, wreszcie zanika niedokrwistość.

Bywa, że po dziesięciu dniach choroby domaga się wypisania do domu, bo czuje się lepiej. A tu lekarz protestuje. On wie, że bakterie muszą doznać nie tyle porażki ile całkowitej klęski. Trzeba je po prostu dobić.

Gdy wreszcie organizm zostanie „oczyszczony” z chorobotwórczych drobnoustrojów, pozostają jeszcze spustoszenia, jakich zdążyły dokonać: są to przede wszystkim wady serca i pozostałości po omawianych przez nas poprzednio zatorach. Leczenie wad będzie przedmiotem osobnych wykładów.

Dodajmy jeszcze niektóre informacje o antybiotykach. Te najbardziej nowoczesne są dość kosztowne. Oczywiście, nikt nie informuje chorego, że często jedyną drogą kuracji kosztuje około stu tysięcy złotych. A przecież żaden lekarz nie zważa się stosować nawet najdroższych leków. W dodatku, gdy mikrobiolog ustali, że tylko jeden antybiotyk okazuje się skutecznym, a nie ma go akurat w Białymstoku, kierownik apteki szpitalnej potrafi tak sprawę załatwić, że po jednej rozmowie telefonicznej z Centralną Składnicą w Warszawie, gdzie znajdują się „żelazne rezerwy” — wieczorem odbiera lek z rąk maszynistów lub kierownika pościągę i... tego samego dnia chory otrzymuje już pierwszą dawkę. Nie zapominajmy więc o nich, bieliennych współnikach medycyny. (A. K.)

W białostockich ga eriach

Ptak - Koń
- Człowiek

Od pewnego czasu na wernisażach trudno przedrzeć się do autora i jego dzieła przez tłum gości. Tak było i tym razem, kiedy w Galerii Sztuki Współczesnej w Białymstoku (Oddział Muzeum Okręgowego), jedną z sal wystawowych wypełniły „Ptaki i Konia” utrwalone na fotografiach Wiktor Wolkow i wyryte w polnym kamieniu przez Wojciecha Załęskiego.

Wernisaże są wydarzeniami przede wszystkim towarzyskim. Sztuka schodzi na drugi plan. W takich sytuacjach najlepiej czują się osoby obdarzone, podzielni uwagą — zdają pogawędzić, chwycić za mankiety kogo trzeba, lyknać koktajl i przy okazji zerknąć na eksponaty. Ale dosyć o psychologii odbioru, pora na twórców i ich dzieła.

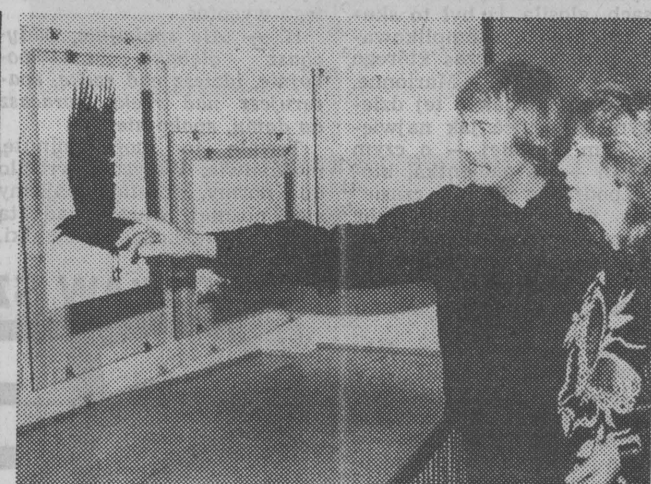
Dwa nazwiska i dwa rodzaje sztuki skłócone przez miejsce i temat. Nie jest to wyłącznie okazjonalny związek. Wojciech Załęski (rzeźbiarz i nauczyciel w Liceum Sztuk Plastycznych) i Wiktor Wolkow (fotograf) mieszkają w Supraślu, w zbudowanych przez siebie domach. Pół życia, a może i więcej, spędzili na wólczech po lasach i niedostępnych trzęsawiskach. Przyroda jest częścią ich świata, przestrzeni, w której czują się najlepiej. Obaj „u-ciekli” z miast, wybierając na życie „przylutny i przylepny” Supraśl.

Wojciech Załęski do tej pory pracował w drewnie. Kamień jest dla niego nowym tworzywem. Powstał cykl rzeźbionych ptaków, a właściwie ich cechy szczególne odnaleziono w podręcznym przez naturę materiale.

Nie traktuję życia jako gry i zabawy w pieniądze — powiedział autor kamiennych ptaków i koni, kiedy na moment udało mu się uwolnić od zaproszonych i całkiem przypadkowych gości. — Rzeźbienie jest dla mnie potrzebą wewnętrzną, częścią istnienia.

Do ptaków w kamieniu na pewno nie wróce. To już zamknięty cykl. Wahaniem się, czy pokazać swoje konie... To nie są te konie, które chyba jeszcze w życiu wyrzeźbił.

We wszystkim co robię interesuje mnie poszukiwanie klimatu, tych głębszych warstw, które ukryte są pod powierzchnią rzeczy... Nie ptak dosłowny, ale jego cechy charakterystyczne, które wyróżniają go spośród innych



gatunków, to co w każdym istnieniu odrębne, bardzo własne, nie do powtórzenia.

Wiktor Wolkow „podchodzi” swoje obiekty jak myśliwy... Na jego fotografiach — przylapany znikacz „świat dzikich istnień” — zdziwione ptaki i myślicie konie, łagodne, melancholijne, drażliwe. Coś więcej niż fotograficzna dosłowność. Osobny świat, nie do przeniknięcia, odwrócony do nas tyłem Wolkow od wielu lat za po-

moć kamery spisuje kronikę przemian tych właściwie niedostępnych dla człowieka obrazów. Część jego prac możemy obejrzeć w albumie „Pejzaż czarno-biały północno-wschodni”, opatrzonym tekstami doskonale oddającymi sens i nastroje fotografii. Ciąg dalszy mamy w białostockiej Galerii Sztuki Współczesnej.

Tem dźwiękowym tej podwójnej ekspozycji są nagrane na taśmę odgłosy natury. Sa-

ma poddałam się testowi, próbując pokłóżyć głosy ptaków z ich gatunkami. Wypadło fatalnie. Absolutny analfabetyzm przyrodniczy.

Obaj autorzy — w drewnie i w fotografii, bezilustrowani — mierzą nam odległość, jaka nas dzieli od traw, sekających ptaków i koni. Jesteśmy daleko i coraz to dalej, niestety.

OLGA PACEWICZ
Fot. Wiktor Wolkow i Maciej Ostaszewski



Dosyć późno uświadomiłem sobie, że tegoroczny karnawał jest bardzo krótki i musiałem śpieszyć, aby z tym tematem „załapać się” jeszcze w okresie zalegalizowanych tradycji tańców, uciech i swawoli.

Zachęcony znakomitą reklamą w postaci plakatów, ulotek, zaproszeń i zachęt prasowych wybrałem się do Klubu MPIK aby zobaczyć wystawę „Był Ritz...” na której jak to obcywała reklama, miało mi pokazać prawie wszystko o słynnym w białostockiej legendzie hotelu. Wtedy to — już w holo MPIK po raz drugi przekonałem się jak wielką potęgą jest dobra reklama.

Żywy trup

Po raz pierwszy dowiedział mi tego przed czterdziestu chyba laty nieznanymi mi bliżej, ale obrotowi kierownik kina w Tykocinie. Pojechałem tam na ryby, idąc nad rzekę zainteresowałem się, podobnie jak inni, nie-wielkim afiszem kina. Czerwona kredką wypisano na nim dużymi literami: „Potęgą miłości” i także wyraźnie: „Film produkcji francuskiej”. Widząc wielkie zainteresowanie tykocińskich młodzieńców filmem (a francuskie były wtedy rzadkością — zresztą nowałem z wędowania i wraz z nimi wsiąłem się do niemiłosiernie załoczonej salki kina, aby zamiast spodziewanej erotyki, obejrzeć w zaduchu przyrodniczy film o miłości macierzyńskiej drażliwików.

Wystawa w MPIK jest znakomita. Ekspozycja bardzo staranna, wykonana z wielkim smakiem. Taka maleńka perełka — „jak z nic zrobić Ritz”. Jej organizatorzy nie bacząc na koszty (nawet czyn społeczny to też koszty) pokazali kilka zdjęć znakomicie zreprodukowanych i po powiększeniu podzielonych na kawałki (aby wystarczyło do wszystkich gablot) oraz kilkanaście nalepek z „ritzów” prosperujących w wielkich metropoliach. W sumie przepyszna elegancja zabawa. Tak elegancka jak stroje personelu restauracji na jednym ze zdjęć, gdzie trudno rozpoznać kto kelner a kto dyrektor. Organizatorzy za rozwiązanie tej zagadki dają konia z rędem.

Tak już jest, że kto ma „szmal” ten się bawi.

Tak było zawsze. Szperając w starociach białostockiej prasy znalazłem parę interesujących informacji jak to się „drzewie” bawiono. W posyłkowym okresie odbywały się w naszym mieście „wykigi” w organizowaniu karnawałowych imprez rozrywkowych. Zjawisko to normalne w karnawale nabierało jednak wyjątkowego znaczenia w zestawieniu z ludzką biedą. A wszystko dzięki specjalnemu systemowi jaki stosowano przy urządzaniu różnego rodzaju balów, wieczorów, rautów itp. W celach reklamowych nabytoby często i w sposób cyniczny oszukiwano nadużywano hasła dobroczynności. Prawie każda, nawet w najpodrzedniejszym lokalu organizowaną „bibkę” reklamowano jakimś wzniostym celem.

Bawiono się więc: „na pomoc bezrobotnym”; „na dożywianie najbiedniejszych”;

„na oświecenie”; „na seroty”. Jedną z szanowanych organizacji rozprawiła zaproszenia opatrzone takim „to tekstom”. Bawiąc się sam ulżył niedzieli hollywoodzkiej. I byłoby to może gołe pchwały gdyby po takim balu „ulżyło się” choć jednemu dzieku. Przeważnie jednak rzeczywistość była brutalna. Wpływy jakie osiągnęło z zabaw „starczyły ledwie na pokrycie kosztów organizacyjnych”.

Znalazłem także parę ciekawostek o słynnym białostockim hotelu Rad będącym przedadzą się one twórcom historii Ritzu. Preszłość tego hotelu i jego restauracji to nie tylko bon ton, savoir-vivre, pardon, ale także często pijana rzeczywistość.

Piękną i słoneczną, wiosenną niedzielę 26 kwietnia 1936 roku o godzinie siódmej rano w holo hotelowym Ritzu zjawił się urzędnik w szoku kelner restauracji — jak wnioskować można było ze służbowego smokinga, „Ponięważ posadzka wymykała mu się spod nóg, położył się nieborak tak „jak stał” w tym smokowym stroju wprost na podłodze, w cieniu głównych schodów zakryty zacinając czerwona kotarę. I zasnął jak kamień. Ktoś zawiadomił o tym dyrekcję i

o godzinie dziesiątej w holo Ritzu rozegrał się taki oto „pogrzebowy wodewil”.

Zalanego i pogrążonego w głębokim śnie pracownika rozciągnięto na posadzce, złożono mu ręce jak nieboszczykowi, za głową u-mieszczono papierowy krzyż z literami „s.p.”, pod pachę wtknięto butelkę po wodce. Zapalono jeszcze grzmiące i sprowadzono u-licznego fotografa, aby uwiecznić na kliszy tę makabryczną scenę.

Temu dzielnemu spektaklowi — pisał jeden z białostockich żurnalistów — noszącemu niewątpliwie cechy bluźnierstwa (choćdło o krzyż) przylał dął się w niewybrednym chichotem cały (trzechy) zespół restauracji poczynając od garkotuków do dystygnowanej, a wielce „respectable” Dyrekcji włącznie.

I jeszcze o karnawale w Ritzu. Tym razem z „Echa Białostockiego”.

W niedzielę 1 kwietnia odbywają się w Ritzu „fajfy”, na które schodzą się różne „elity” i „eliki”. Panuje wśród nich dziwny zwyczaj: niewiasty nie uznają szatni.

Wszystkie krzesła ritzowe obwieszono są więc palmami, futrami, płaszcami, a wszystkie „podstola” zastawione botkami i kaloszami...

Panie Ritz, jeśli twoja publiczność „fajfowa” z sali robi bałagan, powieś pan w szatni sztyldzik: „dla biedoty szatnia bezpłatna”.

Kto miał forę, ten się bawił. Tak było jest i będzie.

EUGENIUSZ HRYNIEWICKI

P.S. Szanowni Czytelnicy. Autor „Kroniki” pragnie odnotować 70-lecie odkrywania niepodległości przez Białystok. Niestety, jest za młody aby pamiętać tamte czasy. Są jednak wśród mieszkańców Białostoku tacy, którzy pamiętają dzień 19 lutego 1919 roku. Zapraszam ich na herbatę i wspominki do klubu „U dziennikarzy” we wtorek, 31 stycznia o godz. 14. Klub mieści się w budynku redakcji „Gazety Współczesnej” ul. Wesołowskiego 1 (dawna Suraska).

Zapraszam serdecznie.

TO NIE JEST „literatura”. To tylko wierny zapis świadomości młodych ludzi — uczniów jednej z białostockich szkół średnich. Przeczytajcie, ale nie szukajcie nauki. Morału nie będzie.

I. CIEKAWOŚĆ

— Brałeś?
— Brałem. Z ciekawości. Gdybym miał możliwość, brałbym częściej. To takie niesamowite! Rzeczy widzisz od środka. Z kamieniami gadać możesz.

— Ja też wezmę.

— Ja jeszcze nie próbowałem, ale chyba spróbuję...

— Z ciekawości.

— Z ciekawości.

— Ile ciekawości ma w sobie dojrzewający człowiek...

— Tu chodzi o inne przeżywanie świata. To, co widzisz nie na dzień, jest takie szare, mdłe, że aż rzygać się chce.

— Parę razy miałem możliwość wzięcia, ale bałem się, że będzie to „lepsze” od normalnego życia.

Co zrobić z ciekawością, dla której niedrożne są wszystkie inne ujęcia poza tym jednym — igłą strzykawki?

— Nie chcę słuchać, że pa-jak ma osiem nóg, ustawionych pod określonym kątem. Chcę je sama policzyć. Na chemii mówi nam nauczyciel: zapamiętajcie — w tym doświadczeniu odczyn barwi się na malinowo. A ja nie wiem! Myśnię tego nie widzieli. Czy nauczyciel bał się, że doświadczenie się nie uda?

— Jestem w klasie biologiczno-chemicznej, ale nie wiem, jak wygląda przylaszczka. Patrzę na piękny biały kwiatek w lesie, ale nie wiem, co to jest. Potrafię powiedzieć jakie przylaszczka ma wązki przewód, ale czy to, co widzę, jest przylaszczką?

II. SZKOŁA

— A więc jaka jest szkoła?
— Żadna. Do łufu!

— Wy się tym jeszcze naprawdę przejmujecie...

Ale większość przejmuję się naprawdę. Czy musi się być w szkole?

— Nie musi się.

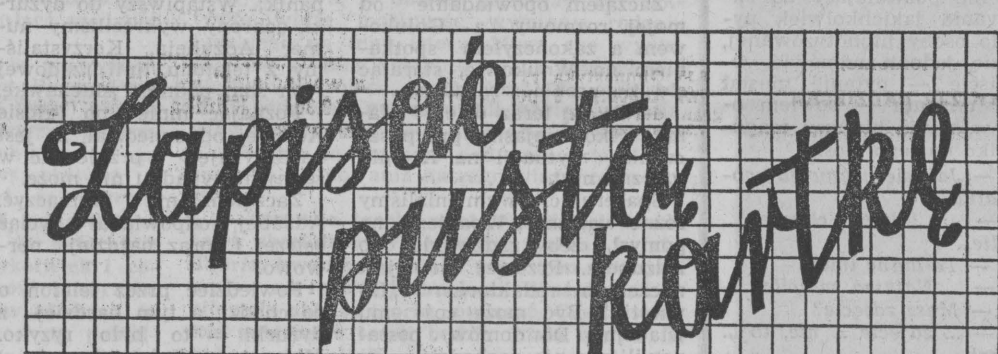
— Musi się. To jedyna droga, żeby dojść do czegoś.

— Pieprzysz! Nie tutaj.

— Szkoła daje podstawy wszystkiego.

— Mówisz jak moja stara w domu. Jeśli nauczysz się regulek i faktów, a nie nauczysz się myśleć, nic ci to w życiu nie da.

— Uważam, iż szkoła jako idea jest dobra. A to, że jest taka, jaka jest, to także nasza wina.



— A jaki masz wpływ na to, żeby było inaczej?

— Mówi się, że szkoła jest szkołą życia. I rzeczywiście, to czego uczymy się, to — kombinowanie, oszukiwanie — siebie też.

— Jeśli nie szanujesz profesora, to jak chcesz, żeby on ci coś z siebie dał?

— On mnie pierwszy nie szanował.

— Pamiętacie D. Fajny kumpel. I co? Zaden kodeks go nie obronił. Belferka postawiła go przed dyrektorem: on albo ja. I D. musiał zwinąć mamele.

— Jeden nauczyciel szanuje ucznia i bez kodeksu, drugi z kodeksem gnębi. Ma władzę, więc pokazuje, że jest silniejszy.

— Paragrafy obowiązują także, a może przede wszystkim tych, co dzierżą władzę.

— Mówię ci, że nie funkcja, a dusza decyduje o tym, czy jeden człowiek szanuje prawo drugiego człowieka.

— Dusza też zależy od sytuacji, rośnie albo maleje.

— Sądzisz, że od ciebie nie zależy, tylko od sytuacji? Je-

— Szkoła jest dla nauczyciela, przerwa dla nauczyciela, dzwonek dla nauczyciela. A co właściwie jest dla ucznia?

— Skąd weźmiecie dyscyplinę, by pracować, a nie leżeć się, jeżeli będziecie w-bierać sobie nauczyciela, a na lekcjach będziecie prowadzić wolną dyskusję?

— To będzie samodyscyplina celu...

— Na razie uczymy się, zdajemy egzaminy, a potem do niczego to nie jest potrzebne. Czyli uczymy się dla samych egzaminów.

III. BEZSIŁA

— Wracając do narkotyków. Dyrektor i nauczyciele chowają głowy w piasek. Mówią: u nas uczniowie nie mają nic interesującego. Szkoła umie wyrzucić narkomana i klamać, że nie było. Czy stało się coś godnego uwagi? Przecież to tylko narkoman!

— Z koleżanką, która epała, poszliśmy do dyrektora. Chcieliśmy przedstawić mu naszą sprawę. Otrzymał jakąś radę. Odpowiedział, że nie ma

do dziś. Podpadnięty nie ma własnej osobowości i można się na nim mścić.

— W szkole nie jest się sobą. Obecność sprawdzają nazwiska, choć każdy uczeń ma imię. Albo jeszcze gorzej — numerami.

— Stawiają na baczność. Na powitanie i na pożegnania nauczyciela. Średniowiecze! Po 45 minutach belferka czeka na moment, gdy żaden z uczniów nie drgnie. Nie wolno ruszyć palcem ani głową. Dopiero wtedy pozwala stanąć na baczność i wychodzi z klasy. Nigdy nie wypowiada własnych sądów o czymkolwiek i tego samego wymaga od nas. Jeżeli w pracy pisze się to, co się myśli albo czuje, taką pracę ocenia bardzo nisko.

— A więc co należy pisać? — Puste literki, najlepiej skądś zerżnięte. Wtedy mrowane, że się dostanie dobry stopień.

IV. ZAKAZ

Każdy dojrzewający człowiek musi mieć swój owoc

zakazany, po który sięgnie. Wystarczyć potężny, żeby czuło się, że coś zostało złamane. W szkole, w której pali się i pije prawie jawnie, co może być takim owocem zakazanym? Narkotyki...

V. STRACH I DRZENIE

— Dlaczego biorą? — pytają kolejni raz.

Zaczynając chodzić po o-macku. Nie chcą być tacy jak dorośli, a jednocześnie nie wiedzą — jacy chcieliby być. Chcą wszystko zburzyć i pobić od nowa. Ale okazuje się, że nie wolno. Czasem nie wolno nawet burzyć i budować w samym sobie. Boją się tego, co przychodzi. Boją się, więc nieruchomieją w bierności. Bierność przytłacza. Buntują się, że nic nie można zrobić. Kółko się zamyka.

— Zrobić można dużo. Można dać serce. I przyjaźń.

— A śmierć? Zdradę narkoman nie boi się śmierci. Cóż, śmiech śmierci, czy śmierć śmiechu. To tylko taka przestawianka.

Narkoman, to człowiek zanurzony w naczyniu wypełnionym beznadzieją. Wielki ulud.

VI. POMOC

— Znam kogoś, kto z narkomanii wyleczył się w MO-NARZE.

— A ja — takiego, który odnalazł siebie poprzez buddyzm. A kiedy odnalazł siebie — rzucił cpanie. Czasem, by pomóc, wystarczy zapalić małe światelko...

— Przez pewien czas bro-niliśmy się śmiechem, ale to już przestało na nas działać. A ja wiem, na pusztę kartkę nad łóżkiem. Mogę na niej napisać wszystko. Albo nie. Ale mogę. To pomaga.

Notował:

STANISŁAW FIEDOROWICZ



— Czy człowiek może schamieć?

— To zależy.

— Od czego?

— Od innych. Sam z siebie może tylko zdziścić. W pojedynkę schamieć się nie da.

— A język?

— Co znowu za język?

— Nasz powszedni. Schamieć może?

— Jak najbardziej i to jest zależne wyłącznie od nas samych.

— Tak myślałem.

Język, którym posługujemy

się na co dzień, język operujący skrótami, skłódnosowny, pełen obsceników, które zastępują niewyartykułowane reakcje, to żargon, język, którym posługujemy się świadomie lub go pomijamy, zastępując w innych.

Człowiek inteligentny zmienia słownictwo i sposób wyrażania się w zależności od sytuacji, dla wygody, czasem z konieczności.

Człowiek piszący nie ma do tego prawa. Występując publicznie, na łamach gazety, tygodnika, kwartalnika czy rocznika jest zobowiązany do używania tego samego, komunikatywnego, literackiego języka, który funkcjonuje jako oficjalne narzędzie porozumienia w danym kraju.

Niechcąc dzieła jego rzezy i chmismo językowe przenikają do prasy i w dziennikach, a nawet setkach eg-

zemplarzy krąży po kraju żarzący maluczkich.

Taka dziennikarska nowomowa zaczęła rozwijać się szczególnie szybko w czasach drugiej Polski trzeciej Rzeczypospolitej. Wymyślano wówczas potworki językowe nie tylko na temat niebywających sukcesów, ale także tych, którzy nie wątpili. To wówczas prześcignęli się w tworzeniu pochodnych od warcholów, agentów i agen-

tury, zdemoralizowanej opozycji przeciwstawianej zdrowemu trzonowi upartyjnionej klasy robotniczej. Potem wysocze wyspecjalizowani dziennikarze reanimowali różne kary, prześcigając się w nowomowie, upodani i poniżaniu. Język dziennikarski chiałł coraz bardziej.

Wkrótce na łamy zaczął przedostawać się lumpenproletariacki żargon, język czyniał byt coraz bardziej hermetyczny, nieprzetłumaczalny.

W „Kulturze” znajduję takie zdanie: „...jeźliżo już właściwie zdycha”. W „Folityce” KTT, którego nie po-dejrzewałem o to, napisał, że odnosi „nieodparte wrażenie, że jest byczo, a będzie jeszcze kłowiej jeśli tylko reszta nie-mądrych magazynów przestanie się dąsać i ślamazaryć...”

Co to jest? Neofidisz, warchawu cooney? Nowomowaparanioja? W jeszcze innym tygodniku centralnym znaj-

duję zapewnienie, że „naj-ważniejszy jest szmal”. Schmal i szmal brzmią tak samo, ale w języku niemieckim schmal znaczy wąski, ciastny, więc jako germanizm słowo to nie spełnia swojej funkcji. Czytelnicy wiedzą o-czywiście, że mowa (a nie chodzi) o pieniądzach, ale to jest nowomowa, która do języka literackiego nie ma prawa wstępu. W „Przeglądzie Tygodniowym” dziennikarze nie fatygują się poprawić mi-nistra, który oświadcza, że

„czekają mnie komisje sejmowe...”; czy też, panie mini-strze Wroblewski, „czekają na mnie komisje sejmowe?”

Język dziennikarski stał się istnym śmietnikiem. Działają purym językowy stał się czymś uolaczącym. Wy-starczy posłuchać kretyńskich tekstów „śpiewanych” przez szalejące zespoły rockowe. I młodzież powtarza te teksty bezkrytycznie, uprowadzając następne do języka obiego-wego „nolozimny-potwórki, które z czasem zaczynają żyć własnym życiem. Przechwyty-ją je dziennikarze i ludzie, którym od czasu do czasu wy-pada wygłosić przemówienie, a potem słuchać tu i ówdzie, że Wańkowicz głądził, Cat-Mackiewicz pierzył trzy po-trzy, a język Homera to ja-kiś niezyciowy heksametr.

Strach ogarnia człowieka przed wyjściem na ulicę, bo zaraz usłyszy:

— Te, wapiński, kopsnij służba albo całą ramkę i że-by mi było zero dyskusji.

NICZYPOROWICZ

Ciąg dalszy ze str. 5

wagi państwowej, bo zamru-czał:

— Zaraz jadę.

Po dwudziestu minutach był już u nas.

Jeszcze raz powtórzyłem swą opowieść. Adżubę zaczął dzwonić w różne miejsca. Do Gorunowa, do TASS — ten nic nie wie; do Siemczestnogo do KGB — nie ma go na miejscu; do Szeleplina z KC — na posiedzeniu; do Grego-riana z KC — ten też nie wie.

I tak niczego nie dowie-dzieliśmy się do samego wie-czora. Sergio poszedł do sie-bie. Ja bez żadnego celu krą-żyłem wokół domu, choć nogi uginały się od zmęczenia.

Około godziny dwudziestej przejechał ojciec. Jego samo-chód jak zawsze zatrzymał się przed samą bramą. Poszedł ścieżką wzdłuż podwórza, była to jego tradycyjna trasa.

Dopędziłem go. W milcze-niu przeszliśmy kilka kroków, o nic go nie pytałem. Wyglą-dzał na roztrzęsionego i bar-dzo zmęczonego.

Sergo zaproponował żebyś-my poczekali do powrotu A-rzumianiana i później pojecha-li do niego do domu. Na pew-no rozmawiali oni z Mikoja-nem o wydarzeniach minione-go dnia.

I znowu należało czekać. Sergio poszedł do domu. Czas mijal bardzo wolno.

W tym czasie Adżubę pró-bował dodzwonić się do Sze-leplina. Telefon nie odpowia-dzał. Zadzwonił na dach. Też milczenie. Próby skontaktowa-nia się z Polaiskim i kil-na innymi również spęły na niczym. Dopiero po kilku dniach dowiedziałem się, że po wyjeździe ojca wszyscy człon-kowie Biura Politycznego u-mówili się nie odbierać tele-fonów; a nuż Chruszczow za-czyne wydzwanianie do nich i Chruszczow nie wydzwan-ia, u da mu się skłonić kogoś do przejścia na swoją stronę.

O dziesiątej wieczorem Ser-go wpadł z wiadomością, że Arzumianian już odjechał. Szybko wskoczyliśmy do sa-mochodu i wyjechaliśmy z

bramy. Z ciemności, spośród drzew, wyrzuciła się sylwet-ka jakiegoś człowieka. Prze-skoczyliśmy obok niego. On sam nie próbował zakłócić nam jazdy, tylko przez kom-ment uważnie obserwował nasz oddalający się samo-chód. Dla niego najważniejsi-szy był numer rejestracyjny.

Trasa naszej podróży prze-wiodła na Prospekt Lenina Tam, w dużym akademickim budynku, mieszkał Arzumia-nian.

Arzumianiana nie zdziwiła nasza późna wizyta. Jego tak-że oburzyłoby nowiny i chciał z kimś porozmawiać. Usadowi-liśmy się wokół stołu w ja-dalni. Nikt nie wiedział o naszym przyjeździe.

Wszystko to, co nam wiado-mo o przypuszczalnie zbl-iżających się zmianach i o tym, co nas bardzo niepokoi, Pyta także czego dotyczyło dzisiejsze posiedzenie Biura Politycznego.

Anastas Iwanowicz prosił zachować system rozmów w tajemnicy — niepewnie odpo-wiedział Arzumianian — ale wam mogę opowiedzieć. Sytuacja jest bardzo skompli-kowana. Nikicie Siergiejewi-czowi postawiono liczne za-rzuty i członkowie Politbiura żądają jego dymisji. Posiedze-nie przygotowane bardzo do kłódnie: wszyscy, z wyjąt-kiem Mikojaana, występują zwartym frontem przeciwko Chruszczowowi. Obwiniają go za różne grzechy: za nie-zadawalającą sytuację w ro-śnictwie, za nonszalancję sto-sunek do członków Biura Po-litycznego, niełiczenie się z ich zdaniem i wiele innych spraw. Ale rzecz nie w tym, bo wszyscy popielniają błędy i u Chruszczowa ich nie bra-kuje. Ale tu rzecz cała do-tyczy nie błędów Nikity Sier-giejewicza a linii politycznej, którą on uosabia i urzeczyw-istnia. Jeśli go zabraknie, do władzy mogą dojść stalinow-cy i trudno teraz przewidzieć — co się może wydarzyć. Trzeba walczyć, nie można dopuścić do odwołania Chru-

szczewa. Ale boję się, że be-dzie to zadanie trudne do wykonania. Mimo wszystko nie można siedzieć z założo-nymi rękoma, postaramy się zadziałać.

Jego słowa dodały mi otu-chy i ojciec nie był sam. Przecież już w 1957 roku większość członków Politbiu ra żądała jego odejścia, ale plenum KC zdecydowało inaczej. Teraz jednak wszyst-ko przemawiało za tym, że są to pienne nadziejce, bo doświadczenie z 1957 r. było z całą pewnością uwzględnio-ne i przemysłane. A trzeba przy-znać, że większość członków KC była niezadowolona z wielu innowacji Chruszczowa.

GALERIA WOLNOĆ TOMKU

WIESŁAW JURKOWSKI

...urodził się 4 maja 1939 r. w Oleszkowie (woj. białostockie). Studia na Wydziale Malarstwa i Grafiki PWSSP w Gdańsku ukończył — z wyróżnieniem — w 1964 r.

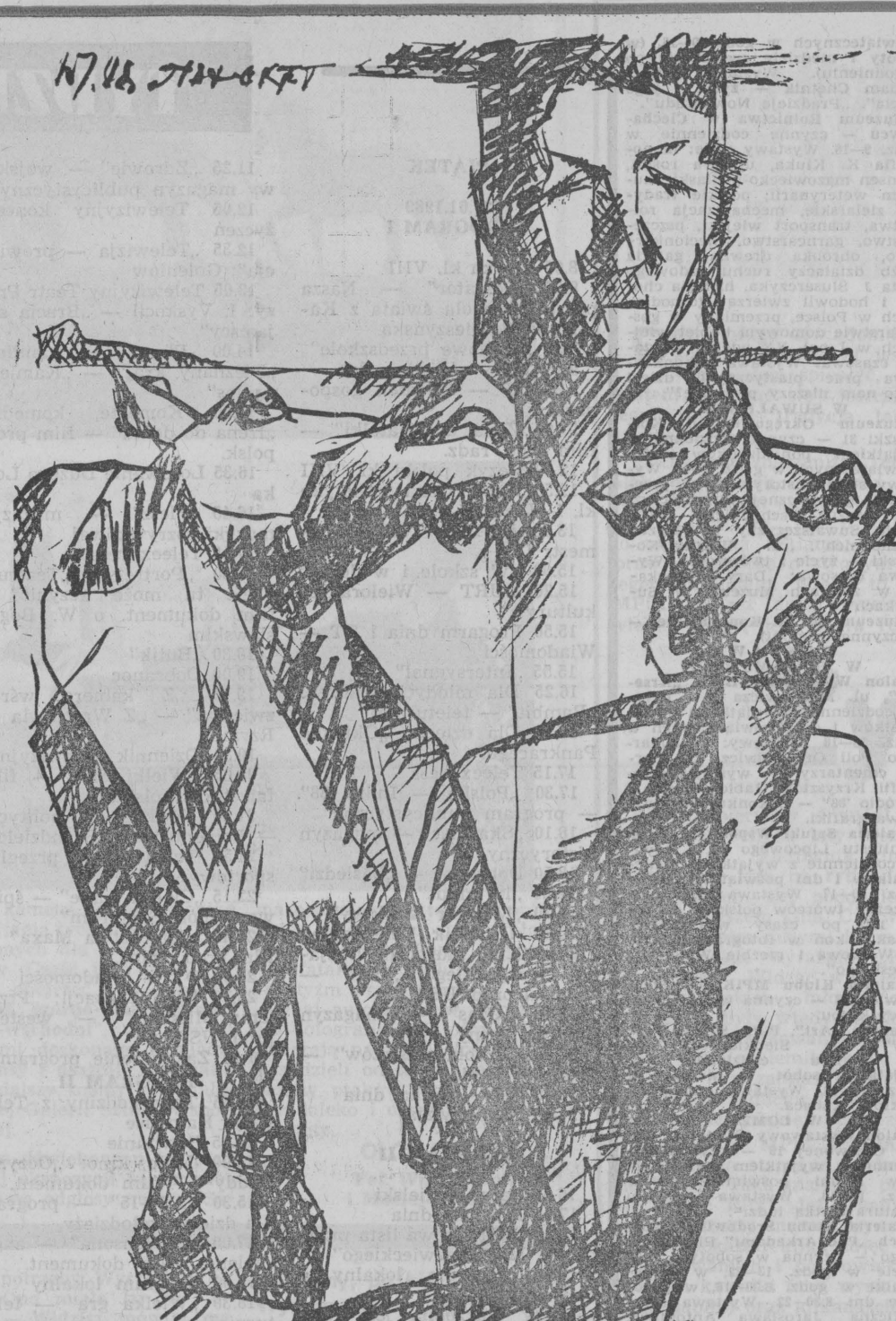
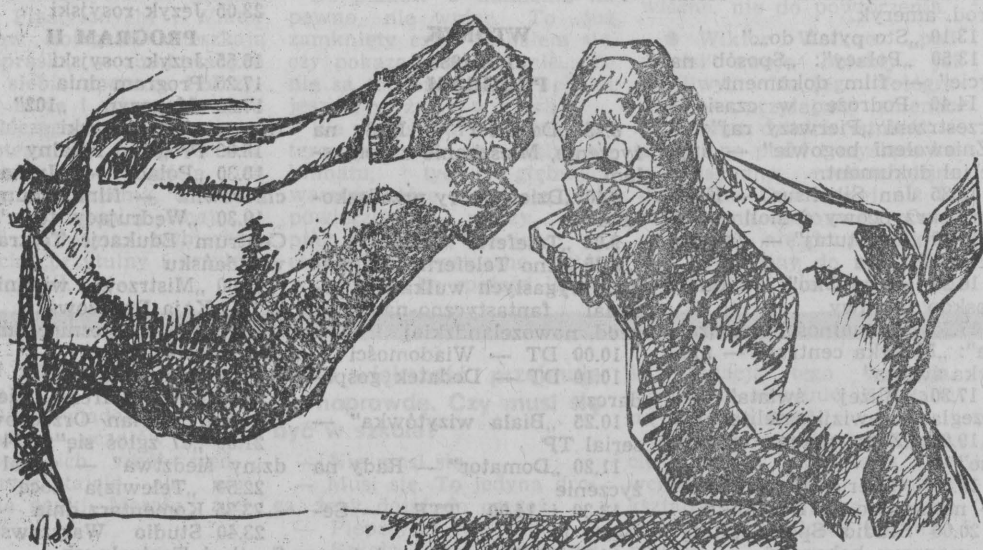
Na swoim koncie zapisał szereg nagród wyróżnień m.in. brązowe medale za malarstwo i grafikę na Ogólnopolskiej Wystawie Malarstwa i Grafiki — Bielsko-Biała 1965, wyróżnienie MKiS na III Triennale Rysunku we Wrocławiu, nagrodę na Festiwalu Malarstwa Młodych — Sopot 1968, medal za całokształt osiągnięć twórczych na IV Ogólnopolskim Plenerze Białowiejskim.

Otrzymał także (w roku 1985) — za twórczość dla dzieci i młodzieży, a w szczególności za osiągnięcia scenograficzne w teatrach lalkowych — Nagrodę Prezesa Rady Ministrów PRL.

Wielokrotnie pokazywał swoje prace na wystawach indywidualnych w kraju i za granicą:

Grafika — Białystok 1964
Malarstwo — Białystok 1967
Rysunek — Białystok 1969
Grafika — Włocławek (Bulgaria) 1971
Malarstwo — Gdańsk 1971
Malarstwo — Warszawa — Kordegarda 1972

Malarstwo — Białystok 1973
Malarstwo — Białystok 1978
Scenografia Teatru Lalek — Białystok 1983
Malarstwo, Rysunek — Białystok 1987
Zaproszono go także do udziału w I i III Międzynarodowym Biennale Grafiki w Krakowie, VI „Złoty Granie” w Zielonej Górze (wystawa „Sygnal” oraz w wystawie „400 dzieł na 400-lecie Zakopanego” (w 1978 r.).



Wstęgi przeciął sam NACZELNY! Ruchamy więc oficjalnie jak najbardziej. GALERIA „WOLNOĆ TOMKU” OTWIERA PODWOJE!

Jako się rzekło, chcemy prezentować w niej znanych i uznanych. Choć debiutów nie wykluczamy także. Na pierwszy ogień — co niestety zauważyć — poszli WIESŁAW JURKOWSKI — znany białostocki plastyk, laureat wielu nagród, który para się tak malarstwem, jak i grafiką oraz scenografią.

Zaprezentowaliśmy także poglądy reżysera — JANUSZA ZAORSKIEGO, jakkolwiek tworzącego w pewnym oddaleniu od Białegostoku, ale gośczonego u nas często — na ekranach kinowych zwłaszcza.

Przed nami pytanie CO DAŁE? Ano — poki co — mamy miesiąc blisko na zastanawianie, bo kolejny WERNISZ w naszej GALERII odbędzie się 24 lutego. Najpewniej przedstawimy kolejną kolekcję grafik. Czyżby autorstwa — o! to słodka tajemnica!

Więcej miejsca poświęcimy także literaturze. Czy jednak zajmujemy się poezją, czy zaprezentujemy raczej krótkie opowiadanie — tego także dziś jeszcze nie wiadomo.

Wiadomo za to, że liczymy bardzo na żywcie przyjęcie przez CZYTELNIKÓW, a także ŚRODOWISKA TWÓRCZE, na których pomocy i udziale w naszych poczynaniach szczególnie nam zależy.

A teraz? TERAZ — czas zacząć zwiedzanie! Zapraszamy!

Lubię pracować

Rozmowa z reżyserem
— JANUSZEM ZAORSKIM.

— Od naszego ostatniego spotkania minęło półtora roku, co wydarzyło się przez ten czas w pańskim twórczym życiu?

— Wydarzyło się sporo, ponieważ — powiem dla niektórych rzecz niepopularną — ja bardzo lubię pracować, realizować filmy i od naszego ostatniego spotkania zrealizowałem te filmy dwa. Jeden nazywa się „Do domu”. Jestem autorem scenariusza według opowiadania nieżyjącego już Wiesława Dymnego. Jest to godzinny film telewizyjny. Powstał jakby w rocznicę odzyskania niepodległości, bo m.in. i o tym jest ten film — najkrócej mówiąc o kosztach rewolucji, opowieść o rodzinie, której najmłodszy syn zabrany zostaje do wojska. Walczył w Wojsku Ludowym na Węgrzech, był się pod Maraskino z Włochami czy z Turkami na San Domingo i — dalej nie powiem, by nie zdradzać zakończenia. Film „Do domu” zrealizowałem w konwencji dość nietypowej, nie wiem nawet, jak gatunkowo określić ten obraz. Zrobiony jest na muzyce, bez efektów synchronicznych, nie skrzypią drzwi jak się je otwiera czy zamyka, nie słychać kroków. Chciałem zrobić jakby takie odwrócenie się od realizmu, rodzaj ballady, jakiejś przypowieści. Było to dla mnie dość ciekawe doświadczenie.

Natomiast film ostatni, to film kinowy, nazywa się „Pikarski poker”. Autorem scenariusza jest Jan Purzycki, autor m.in. scenariusza do filmu „Wielki szal”. Film o macholach w piśmie polnej. Wszyscy, czy jesteśmy kibicami Jagiellonii czy Legii, wiemy, że nie dzieje w państwie pikarskim. Gdyby jeszcze oni dobrze grali, to może byśmy im wybaczyli te wszystkie błędy, ale grają podłe i jeszcze nas oszukują, bo niektórzy wynikli są już dawno po prostu ustalono. A nałowi kibice siadając na trybunach uważają, że na ich oczach tworzy się widowisko. Widowiska nie ma, poziom jest narny i myślę, że na to zgody nie ma. Powiedziałem, że film o rodzinie, jestem fanem piłki nożnej od lat, znam piłkarzy, trenerów — pomyślałem sobie, że jest już najwyższy czas, żeby z tą niewesołą prawą połączyć się z innymi. Jak wszystko dobrze się powiedzie, film prawdopodobnie wejdzie na ekrany w lutym przyszłego roku, akurat przed rozpoczęciem pikarskiej rundy wiosennej. Główną rolę gra Janusz Gajos i ta osoba jest chyba najlepszą reżyserką filmu. Jest to cenny, lubiany i wybitny aktor. A w obsadzie jest więcej tuzów, bo i Marian Opania, i Mariusz Dmochowski, Mariusz Benoit, Jan Englert, jest Andrzej Zaorski — mój brat, jest Mariusz Pieczyński, która grała u mnie i w „Wielkim szale” i w „Rarytonie”. Jak się panstwo orientują, zawsze staram się angażować najlepszych aktorów, wychodząc z prostego założenia, że dobrzy aktorzy grają dobrze. W związku z tym ja angażuję bardzo dobrych i znakomitych.

— Należy pan do tych reżyserów, których filmy nie zawsze trafiają do szerokiego rozpowszechniania. Czy podczas pracy towarzyszy panu obawa, że taki los może spotkać kolejny pański film?

— Ja przecież w ogóle ani nie chcę być ani się nie nadaje na mecenasa. To mnie nie obchodzi. Pamiętam natomiast o jednej rzeczy: żeby była prawdziwa sztuka, musi być prawdziwy konflikt, nie pozorny tylko prawdziwy. Niestety, historia naszego kraju dostarcza tych konfliktów w nadmiernej nawet ilości, i to tragicznych konfliktów, w związku z tym staram się swoje scenariusze pisać posilując się pewnymi faktami autentycznymi. Taki los spotkał „Matkę Królów”, w tej chwili film nagradzany i wielbiony, a ja stalem się niemalże pieszczochem. Tyle tylko, że film ten 5 lat leżał na półkach. A dlaczego nie można było dać tych nagród i pokazać ludziom filmu pięć lat temu? Czyli moje na wierzchu, a więc jednak moje poglądy i mój sposób zapatrywania został doceniony.

Myślę, że to jest też jakaś nauka dla decydentów. Ten film o piśmie nożnej — myślę, że nie będzie miał kłopotów. Jeśli poczuł się obrażony czy seditowicz czy działacz, na zdrowie im to. Chodzi mi o mechanizm, jak to się dzieje, że ten młody, brudny, szmal rzadzi piłką, że to się sprostytuowało w systemie tak, iż nieważne stały się i podziły się gdzieś szlachetne idee Pierre'a de Coubertina. Nie wynik, nie zwycięstwo, a sam udział jest ważny, przecież tak się mówiło o tych, co startowali w igrzyskach olimpijskich. Teraz — wynik za wszelką cenę, to jest problem w moim przekonaniu międzynarodowy. Bardzo dąbam o to, żeby robić coś, co jest nasze i jednocześnie zrozumiałe.

ANDRZEJ JAROSZ

HOROSKOP z przymiuceniem oka

BARAN
21.03
20.04

Bywa i tak, że mimo starań i pełnego zaangażowania w sprawę, rezultaty okazują się być zupełnie innym fiaskiem. Nie wolno jednak z takich sytuacji wyciągać pochopnych wniosków, a na pewno poddawać się. Szczera rozmowa z Wodnikiem przyniesie bardzo pouczające wyniki.

BYK
21.04
21.05

Tydzień bez wielkich dokonań i powodów do dumy, ale jeśli postarasz się niczego nie zaważyć, nigdzie nie spóźnisz i po prostu porządnie wykonasz to, co do ciebie należy, nagrodą będzie spokój ducha i psychiczny luz, a o to naprawdę coraz trudniej.

BLIŹNIĘTA
22.05
21.06

Twoja dobra forma przyniesie efekty zarówno w działaniach zawodowych jak i życiu osobistym. Inteligencja i szybkość w pracy zostaną docenione w sposób bardzo wymierny. W życiu osobistym fascynujące potyczki z uroczym, drapieżnym lwem. Zdrowie dobre.

RAK
22.06
22.07

Tydzień raczej monotony, bez większych emocji i niespodzianek. Narastający dystans w stosunkach z blisko zaprzyjaźnioną osobą możesz i powinieneś zlikwidować dzięki niewielkim ustępstwom. Sytuacja finansowa niewesoła. W razie kłopotów — niezawodny Strzelec.

LEW
23.07
22.08

Oryginalny pomysł w dziedzinie zawodowej może mieć poważne szanse realizacji tylko wtedy, gdy znajdziesz sojusznika wśród przełożonych. W życiu osobistym niepokój o bliską osobę okaze się zupełnie nieuzasadniony. Niespodziewany wyjazd. Miła Panna.

PANNA
23.08
22.09

Znaczące wyróżnienie w pracy spowoduje przypływ energii i podniesie wiarę we własne siły. Bez trudu i znużenia uporasz się ze zwiększonymi obowiązkami. W sprawach serca ciągle na wysokiej falie. Szczupłe finanse ani trochę nie zmądrzą dobrego samopoczucia.

WAGA
23.09
22.10

Twój mentorski ton w kontaktach zawodowych nie zjednuje ci sympatyków. Trochę więcej skromności może przynieść nieocenione korzyści. W życiu osobistym nieoczekiwany flirt z od dawna znaną osobą. Finanse znakomite. Uwaga! na Skorpiona.

SKORPION
23.10
22.11

Bardzo dobry okres we wszystkich sferach życia. W pracy uśmiech i sukcesy. W życiu osobistym twój polot i fantazja znajdują wspaniałe odzwierciedlenie. Zdrowie i finanse godne pozazdroszczenia. Miłe zakochanie ze strony Koziorożca.

STRZELEC
23.11
21.12

Spora stresów dostarczą skomplikowana sytuacja w pracy, wynikała w dużym stopniu z twojej niefrasobliwości. Całkowita mobilizacja i odłożenie innych spraw pozwoli na znalezienie zadowalającego rozwiązania. W domu spokój i harmonia. Ufaj Blizniom!

KOZIOROŻEC
22.12
20.01

Rozbieżność zdań w pewnej podstawowej sprawie nadzwyczajnie zaufanie do bliskiej osoby. Spróbuj spojrzeć na to z różnych stron, może wtedy zrozumiesz, dlaczego ktoś może mieć inny pogląd. Niespodziewany zastrzyk gotówki. Niezawodny Baran.

WODNIK
21.01
20.02

Niekonwencjonalna propozycja towarzyska wprawdzie w poważne rozżalenie. Przydałoby ci się więcej pewności siebie, masz atuty, którymi szkoda się nie pochwalic w większym gronie. Stron od hazardu i alkoholu. Ufaj Rakowi.

RYBY
21.02
20.03

Dobra passa we wszystkich sferach życia. W pracy, choć nie będzie oficjalnego wyróżnienia ani awansu, twoje akcje wyraźnie pójdą w górę. Nieco zmagmatowana sytuacja osobista rychło doznać się rozwiązania. Finanse nieźle. Uwaga! na Strzelca.



DOZWOLONE
OD
LAT
18

POZIOMO: 7) Koziorożca lub

Raka, 10) trwa do Popielca, 13) stan w USA, 15) natarcie, 16) zakuta głowa, 17) tłuszczyk zajęczy, 18) drzewo iglaste, 19) iskra boża, 21) wyspa grecka na Morzu Egejskim, 23) Salata na koźle, 24) stan wiedzy w społeczeństwie, 26) przepływa przez Puszczę Kozienicką, 28) kół, 30) czasami niewarta wyprawki, 31) smutny utwór poetycki, 33) zapach, 36) afrykański krewniak bociana, 39) wtędn, dygresja, 41) mieszka w igloo, 42) egzotyczny pojazd, 45) czerwona plamka na czole Hindusa, 48) wolne stanowisko, 49) przekroczył Rubikon ze słowem: „kości zostały rzucone”, 50) grupa wysp włoskich, 51) znany współczesny malarz hiszpański, 52) poczekalnia dla statków, 53) wśród Azteków, 54) urządzenie do tworzenia połączeń telefonicznych.

PIONOWO: 1) krowa dla Hindusa, 2) rzemieślnik, 3) w szpitalu, w zakonie lub w rodzinie, 4) za dużo, 5) korek drogowy, 6) plisa, 8) naftowa, 9) dramaturg japoński (1691—1756), 11) napasć, agresja, 12) suche doliny rzeczne na pustyniach, 14) służba — nie..., 20) dzisiejszy rejent, 22) śpiewający Severyn, 25) leniowska gazeta, 27) sprawiedliwy tłuszczyk, 28) skrzydlaty pyłak, 29) zbija baki, 32) mineral albo półwysep amerykański, 34) chemiczne przekształcenie, 35) zecer, 37) drapieżne zwierzę, 38) pracownica fabryki włókienniczej, 39) szkół, 40) piaski albo głęboki, 43) syn Dedala, 44) w tytule filmu z

KRZYŻÓWKA

Wiesławem Golasem w głównej roli, 46) funkcjonariusz policji tajnej, 47) sędzia muzułmański.

„HELLES”

Wśród czytelników, którzy w terminie 6-dniowym nadesłały trafne rozwiązania, rozlosujemy 5 bonów oszczędnościowych PKO po 1.000 zł. Na kopertach prosimy zamieścić: „Krzyżówka z numeru 24”.

ROZWIĄZANIE
KRZYŻÓWKI
Z NUMERU 18

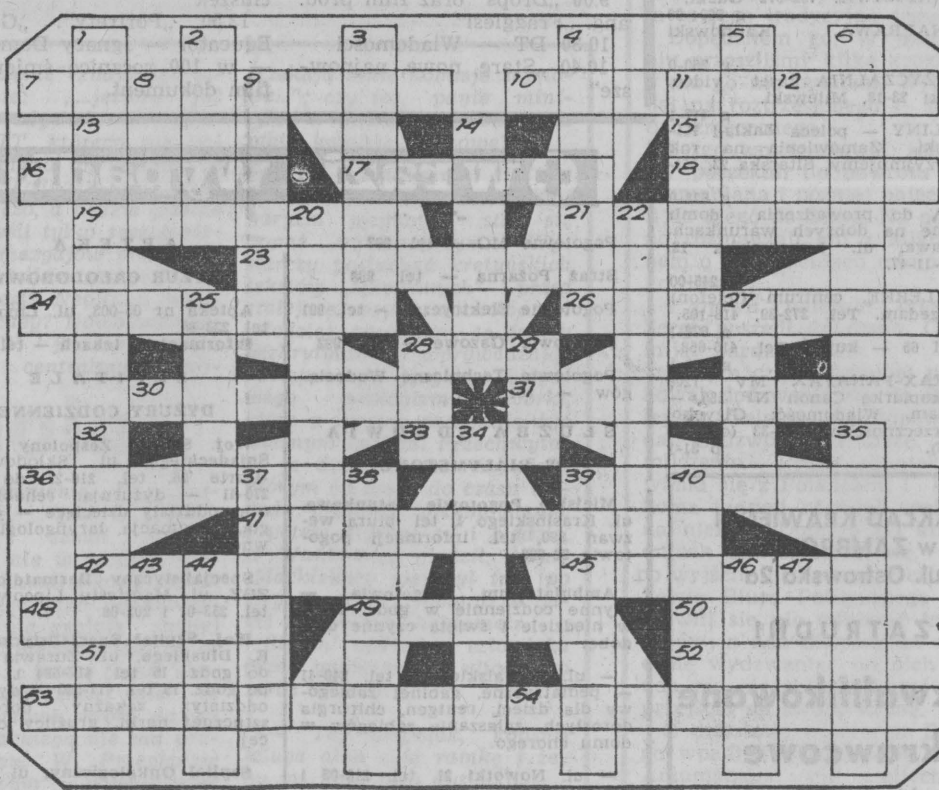
POZIOMO: spikerka, aura, nakrętka, odkos, apteka, Lwów, Yale, Tales, górnik, ilja, Arn, kosa, antaba, zima, maar, lekarz, blokada, orka, mapa, ściniek, Wkra, Ata, usta, amator, indor, irys, diwa epolet, tarant, Zakopane, ssak, turkawka. PIONOWO: podwózek, kłown, ryzyko, analiza, akt, uretan, ręka, atalia, Warszawa, apel, Olga, kornik, iłkar, jare, smar, tyka, Mann, abak, leśniczy, koks, omam, apatia, da-

townik, kwartet, indeks, Europa, raster, arat, tien, adria, opos, lak.

NAGRODY

Za bezbłędne rozwiązanie krzyżówki zamieszczonej w „Gazecie” nr 12 z 14—15 stycznia br. bonus oszczędnościowy PKO wylosowali: Ryszard Skubich z Goniądza, Leszek Smolak z Siemiatycz, Marian Lencki z Łomży oraz Alina Rutkowska i Piotr Dębowski — oboje z Białegostoku.

Nagrody wysłamy pocztą. Zawartość przesyłki prosimy sprawdzić w obecności listonosza. (bm)



DZIWI ŚWIATA ROŚLIN



Niedźwiedzie jagody

Mącznica lekarska (*Arctostaphylos uva-ursi*) to wiecznie zielona krzewinka z rodziny wrzosiowatych, rosnąca w dużych skupieniach w sosnowych lasach, zwłaszcza na północy Polski. W odróżnieniu od borówki jej liście mają gęstą siateczkę nerwów, a jagody są suche i łagodne. Wskutek niemiękkiego, rabunkowego zbioru została w niektórych rejonach całkowicie wymiszczona, dlatego objęta jest częściową ochroną. Ludowa nazwa rośliny — niedźwiedzia jagoda została przyjęta przez naukę: uva-ursi znaczy dokładnie grono niedźwiedzia. Znaczenie lecznicze ma liść mącznicy. Zawiera ją substancję — czynną — hydrochlon wywołujący silne działanie przeciwbakteryjne. Liczne badania wykazały, że hydrochlon wpływa na wszystkie drobnoustroje wywołujące zakażenia dróg moczowych i nerek, również na ich formy antybiotykoodporne. Liście mącznicy znalazły więc zastosowanie w bakteriologicznych zakażeniach dróg moczowych, w zapaleniu kłębków nerkowych, niedzielnicy nerkowych i zapalenia pęcherza moczowego. Leczenie wyciągami z mącznicy zastępuje jest szczególnie młodzieży i osobom starszym, zlecającym długotrwałą terapię antybiotykową. Ziołolecznictwo austriackie proponuje mieszankę znajdującą zastosowanie w leczeniu stanów zapalnych nerek i dróg moczowych. (Leng.)

Liść mącznicy lekarskiej	150 g
liść maliny	50 g
ziele skrzypu polnego	50 g
ziele polonicznika nagiego	50 g
ziele posiewnika szorstkiego	50 g
ziele rdestu ptasiego	50 g
liść brzozy brodawkowatej	50 g
jagoda jałowca	50 g
drewno jałowca	50 g
korzeń wilżymy błotnej	50 g
owoc dzikiej róży	25 g
ziele wiatrówki błotnej	10 g